CENA 20 ZŁ

Odra tygodnik

KATOWICE — WROCŁAW — SZCZECIN — OLSZTYN

NUMER 15 (124) KATOWICE — WROCŁAW — SZCZECIN — OLSZTYN, dnia 11 kwietnia 1948 r. ROK IV

BIBLIOTEKA POMOCE NAUKOWE GDYNIA

EGON NAGANOWSKI

OBROŃCY złego pokoju

Starając się swego czasu przedstawić w artykule pt. „Amerykański barometr" („Odrodzenie" nr. 147) co po drugiej stronie oceanu myślano o Niemcach podczas ostatniej wojny, doszedłem do wniosku, że proniemieckie nastawienie większości Amerykanów było dla nich wyjściowym i normalnym punktem widzenia, z którego zrezygnowali jedynie niechętnie i na krótko (najwyraźniej na przełomie r. 1944-5, gdy nastąpiło pierwsze zetknięcie żołnierzy amerykańskich z hitlerowskimi obozami koncentracyjnymi), by powrócić doń niebawem po zwycięstwie. Dziś z kolei chcę poruszyć odnośnie całego świata anglosaskiego, a więc również Wielkiej Brytanii problem inny, ściśle jednak z tamtym związany, a mianowicie, co opinia publiczna Anglii i Ameryki przed przystąpieniem tych państw do zbrojnej rozprawy myślała o wojnie przeciwko Hitlerowi, czy była skłonna ją aprobować, czy nie. Okaże się przy tym, podobnie jak to już podkreśliłem w „Amerykańskim barometrze',' że rozważania tego rodzaju mają wartość nie tylko historyczną, że rzucają też ciekawe światło na sytuację obecną. Zmieniły się jedynie role — wielu z tych, przede wszystkim w USA, którzy wówczas nie chcieli o wojnie nawet słyszeć, dziś do niej dążą — i odwrotnie.

„Dobry stary Neville"

Nie ulega wątpliwości, że po zakończeniu pierwszej wojny światowej ogół Brytyjczyków był nastawiony pacyfistycznie. Warstwy posiadające bały się, że nowa zawierucha doprowadzi do ogólnoświatowego przewrotu społecznego a klasa robotnicza, mniej lub więcej przejęta ideami październikowej rewolucji rosyjskiej uważała każdą wojnę za kapitalistyczne przedsięwzięcie, którego ciężar z reguły i w pierwszej linii spada na jej barki. Z biegiem czasu odraza do wojny a później strach przed nią przerodziły się w chamberlainowskie wołanie o pokój za wszelką cenę. Mimo rozrostu faszyzmu nie chciano dojrzeć, że niekiedy małe cięcie zastosowane w czas może zapobiec wielkiej, straszliwej rzezi. Uwidoczniło się to po raz pierwszy w r. 1935, kiedy rozwinęła się w związku z Abisynią ożywiona dyskusja dookoła problemu, czy zastosować względem Włoch Mussoliniego sankcje gospodarcze. Na meetingach i w prasie przeważało wówczas zdanie, że należy unikać wszystkiego, co mogłoby „zagrozić pokojowi". To samo powtórzyło się niebawem w okresie hiszpańskiej wojny domowej. W całej pełni aprobowano kłamstwa i wybiegi brytyjskiego rządu, mające usprawiedliwić nieinterwencję. Dopiero gdy szala zwycięstwa przechyliła się zdecydowanie na stronę gen. Franco, socjaliści angielscy a w ślad za nimi Churchill nabrali przekonania, że jednak byłoby lepiej, gdyby wygrali republikanie. Ale było już za późno.

Potem nastąpił „Anschluss". Na Wyspę padł blady strach. Widziano, że widmo wojny wyłania się nieubłaganie i... zamykano oczy. „Zawsze od nowa oddawano się iluzji — pisze z autopsji znany pisarz austriacki Stefan Zweig w swej wstrząsającej książce pt. „Wczorajszy świat — Wspomnienia Europejczyka" — że Hitler chce tylko „zwrotu" niemieckich ziem pogranicznych, że wtedy będzie zadowolony i w podzięce za to zniszczy bolszewizm. Ta przynęta działała znakomicie. Wystarczyło, że Hitler przemawiając użył tylko raz słowa „pokój", a już gazety (angielskie) wpadłszy w entuzjazm zapominały z punktu o wszystkim co było, zaprzestawały pytań, po co Niemcy zbroją się jak opętani. Wracający z Berlina turyści, których tam chytrze otumaniono, sławili niemiecki porządek i jego nowego „mistrza". Pomału i po cichu zaczęto uważać domaganie się Wielkich Niemiec za usprawiedliwione...".

„Jedyna szansa — wspomina owe czasy publicysta socjalistyczny Kingsley Martin (w londyńskim piśmie „Points of Contact") — polegała na odnowieniu kolektywnego bezpieczeństwa przez sojusz wojskowy z Rosją. Było jednak oczywiste, że Chamberlain, lord Simon, lord Halifax i Sir Samuel Hoare, którzy rządzili Anglią, przymierza takiego nie chcieli... Mimo wszystko wierzył on (Chamberlain), że Wielka Brytania i Rzesza Hitlera mogą stać się partnerami." Angielski „man in the street", szary człowiek sądził tak samo. Po Monachium szczerze odetchnął a wraz z nim cały prawie naród. Oto co słusznie przewidując reakcję brytyjskiej opinii publicznej na Monachium zapisał pod datą 30 września 1938 r. w swym „Berlin Diary" (Pamiętnik Berliński) amerykański dziennikarz Wiliam L. Shirer: „...Chamberlain powrócił teraz do Londynu i w nocy stojąc na balkonie przy Downing Street 10 będzie się chełpił: „Moi przyjaciele! Drugi raz w naszej historii zdarzyło się, że angielski parlamentarzysta przywiózł z Niemiec zaszczytny pokój." Tłum będzie wiwatować, krzycząc „Good old Neville" i śpiewać „For he's a jolly good fellow"... a Chamberlain zakończy słowami: „I believe it is peace for our time. Peace with honour!" (Wierzę, że to oznacza pokój dla naszych czasów. Pokój honorowy.)".

Strach i sympatia

Jedynymi ludźmi w Anglii, którzy nie odczuwali zadowolenia z powodu „honorowego pokoju", którzy wołali „stop — agresion!" byli, poza nielicznymi wtedy zwolennikami Churchilla, komuniści. „Komuniści — pisze Martin— demonstrowali przeciwko faszyzmowi i domagali się zawarcia przymierza z Rosją. Mieli w tym zupełnie rację i wielu z nas (socjalistów), choć nie byliśmy komunistami, przyłączyło się do nich." Ale nawet komunistom nie szło łatwo z przekonywaniem własnych towarzyszy o konieczności energiczniejszych kroków „Przypominam sobie — czytamy jeszcze u Martina — że w czasie Monachium spotkałem pewnego razu jednego z najbardziej bojowych przywódców komunistycznych, który mi powiedział, iż jego partii dlatego trudno znaleźć polityczną linię, ponieważ tylu jej zwolenników odczuwa nieprzezwyciężony strach przed nieprzyjacielskimi bombowcami. Cała Anglia była wprost sparaliżowana przez lęk i tylko tym lękiem można wytłumaczyć, że rząd Chamberlaina utrzymał się tak długo".

Postępowi konserwatyści i labourzyści zrozumieli powagę sytuacji w r. 1940, gdy groźny okrzyk „Hitler ante portas" obudził nawet tych, którzy wciąż jeszcze sądzili, że można nasycić zachłanny hitleryzm kosztem krajów wschodnio-europejskich. Pojęto, że trzeba walczyć, bo nie ma innego wyjścia.

Jest oczywiście, że przyczyny niechęci Brytyjczyków do prowadzenia wojny przeciw Niemcom nie należało szukać tylko w naiwnym zaślepieniu, strachu przed bombami i liczeniu na to„ iż. III Rzesza mając zabezpieczone plecy od zachodu „wyładuje" się na wschodzie. Niemałą rolę odegrała tu też obawa przed zniszczeniem w wyniku wojny „zachodniej kultury" oraz faktyczna sympatia dla narodu niemieckiego. Szczególnie drugi punkt powiązany zresztą z pierwszym znanym twierdzeniem, że Niemcy są bądź co bądź narodem kulturalnym" miał wielkie znaczenie. Z wyjątkiem lorda Vansittarda i jego grupy widziano wroga tylko w narodowym socjaliźmie, którego wpływ na niemiecki ogół oceniano o wiele za nisko. Nie uważano nawet — podobnie jak za oceanem — by hitlerowcy, a więc „źli Niemcy", rzeczywiście byli zdolni do okrucieństw, o które ich oskarżano.

„Można spokojnie powiedzieć — stwierdza Hugh Carleton Greene (dziennikarz angielski, w r. 1939 1939 był sprawozdawcą wojennym w. Polsce) — że podczas tej wojny negowano na Wyspie o wiele mniej rzeczy z tego jedynie powodu, że były niemieckimi, niż w czasie poprzedniej... W Londynie nikt nie narażał się na nieprzyjemności rozmawiając publicznie po niemiecku. W jednym z londyńskich okręgów, w West Hampstead, mieszkało tylu Niemców, że nie słyszało się tam prawie języka angielskiego. Obecność znacznej ilości niemieckich emigrantów w Anglii... przyczyniła się do powstania atmosfery w której ludzie patrzyli na to co się dzi eje raczej jak na międzynarodową wojnę domową, niż walkę o podłożu narodowym."

Argumenty antyizolacjonistów

Podobnie jak w Wielkiej Brytanii miały się rzeczy również w Stanach Zjednocz. Niechęci do narodowych socjalistów towarzyszyła sympatia dla Niemców. Dał temu wyraz w r. 1939 m. in. Henry Smith Leiper, prezydent Światowej Rady Kościołów, oświadczając: „Nasz opór przeciwko wszystkiemu co jest związane z Hitlerem nie powinien wpłynąć na nasz podziw i miłość dla tego, co najlepsi Niemcy do kultury chrześcijańskiej wnieśli i w przyszłości wniosą."

Gdy wybuchła wojna w Europie ogół amerykański w swej większości życzył wprawdzie Hitlerowi klęski, a przeciwnej stronie zwycięstwa, ale od myśli czynnego wmieszania się do rozgrywki był bardzo daleki. Potępiano nazizm najwyżej platonicznie i poza tym nie chciano mieć z tą całą „europejską aferą" nic wspólnego. Nawet koncepcja samych tylko dostaw dla ofiar agresji napotykała na olbrzymie trudności. Roosevelt miał ręce związane ustawą o neutralności z r. 1935, zakazującą wywozu broni dla jakiegokolwiek walczącego państwa, a oprócz tego musiał się liczyć z opinią publiczną. Stan taki trwał do wiosny 1940 r.

W chwili najazdu Hitlera na Francję słaba zrazu grupa antyizolacjonistów wystąpiła pierwszy raz na szerszą widownię. Założono „Komitet dla Obrony Ameryki przez Pomoc Aliantom" na którego czele stanęli: znany polityk i publicysta William Allen White, republikanin Henry Stimson (późniejszy minister wojny) oraz republikanin Frank Knox (późniejszy minister marynarki). Niebawem zdołano zwerbować kilku wybitniejszych intelektualistów, profesorów uniwersytetu i prawników i zaczęto prowadzić energiczną propagandę. Posługiwano się przy tym charakterystycznymi argumentami. Nie wspomniano ani słowem o ideałach wolności i sprawiedliwości zagrożonych przez Hitlera. „Zamiast tego — pisze F. Sell („Blick in die Welt" nr. 12, 1947) — apelowano do praktycznej rozwagi, przedstawiając jakie byłoby położenie Stanów Zjednoczonych, gdyby Hitler zagarnąwszy Europę i w konsekwencji Afrykę mógł z łatwością sięgnąć po Amerykę Południową. Otoczona przez państwa totalistyczne Ameryka Północna musiałaby zrezygnować ze swej wewnętrznej wolności, by móc się należycie uzbroić do walki o niepewnym wyniku. Nie z altruistycznych motywów trzeba wspomóc Wielką Brytanię, lecz w dobrze zrozumianym interesie własnym". Ten punkt widzenia starano się przede wszystkim narzucić najbardziej wpływowym przedstawicielom ciężkiego przemysłu, odnoszącym się z głęboką nieufnością do „socjalistycznego" Roosevelta i wszelkich jego poczynań czy planów.

Wheeler, Lindbergh i Henryk Ford

Ale izolacjoniści nie spali. Czując za sobą zdecydowaną większość narodu zabrali się i oni przy pomocy olbrzymiego aparatu propagandowego do dzieła. Ameryka to nie Anglia, gdzie poszczególny głos w dyskusji coś znaczy — tu zawsze tym przyznają rację, którzy krzyczą chórem i nie pominą żadnego efektu reklamowego, czy to będą seanse spirytystyczne z udziałem kilku tysięcy widzów, czy pochody rozebranych girlsów.

Antyinterwencjonistom przewodził zrazu historyk Charles A. Beard, który w oparciu o doktrynę Monroego mówił o konieczności ograniczenia się polityki zagranicznej USA do zachodniej półkuli. Wobec cierpień Europy, Chin i Abisynii zalecał jedynie... akcję charytatywną. Już w r. 1938 potępił ostro wystąpienie Roosevelta stającego w obronie prześladowanych Żydów niemieckich. Beard uważał to za karygodne mieszanie się do cudzych spraw.

Z akcji Bearda i z izolacjonistycznego ruchu studentów Yale-Uniwersity powstał latem 1940 r. tzw. „America First Comitet" urządzający masówki w wielkim stylu. Na pierwszy plan wysunęli się w nim senator Burton K. Wheeler i sławny lotnik Charles Lindbergh. „Wheeler — dowiadu-

(Dokończenie na stronie 2)

TYMOTEUSZ KARPOWICZ

Noc pomorska

Konie zasnęły z kwiatami przy nozdrzach,
orczyk wsparł się o zady tłuste.
I pęczniała nocą ziemia pyrzycka,
kołobrzeska, starogardzka, słupska.

Tu: w drzazgi rozbite krwawniki i łopian.
Zwiędła melodia. Ciepłe echa stanęły w łozinie.
Robotnicy przed snem oczyszczają młoty —
W Kołobrzegu, Nowogardzie, Szczecinie.

Aż po brzeg morza domki okryte dzwoniącym powietrzem,
wżarły się w piasek, torf, glinę — grom je nie wytrzebi.
Klnie rybak zgarniając księżyc w rozstawione sieci
od Wolina, przez Ustkę ku Łebie.

Ręce lip miękko ujmują mokrą głowę wiatru,
a chrabąszcze liście obliczają brzozom.
Aż staną konie z bratkami u pysków i oracz śpiący przy bacie
słońce z zagonu wyorze.

LESZEK GOLIŃSKI

Wiry romantyzmu

Romantyzm miał wpływowych przeciwników i namiętnych wielbicieli zarówno na prawicy, jak i na lewicy społecznej. Odwieczny spór, toczony wokół jego definicji, nie rozegrana walka, tocząca się o jego pozycje, zamąciły tylko spojrzenie na romantyzm. Pozostał prądem, wyklinanym w chwilach pozytywistycznego kociokwiku, witanym z otwartymi ramionami w chwilach krzywdy historycznej, w chwilach klęski narodu. Romantyzm stał się prądem typowym dla klęski, ponieważ był prądem wolności.

Trudno jest bronić pozycyj, na które koncentrują się najzacieklejsze ataki, które bombardowane są pociskami najcięższego kalibru. Jeżeli będziemy rzecz uogólniać, przeciw romnatyzmowi przemawia dzisiaj wszystko: i błędna polityka narodu w historii, i bezcelowe powstania, i klęski, i łzy, i ofiary, i nawet ruiny Warszawy. Próba rehabilitacji romantyzmu w takich warunkach byłaby próbą obrony Okopów Świętej Trójcy, skazanych wyrokiem losu i konieczności na zagładę.

Wydaje się jednak, że tu tkwi zasadniczy błąd, źródło tragicznych nieporozumień.

Tragedia romantyzmu tkwi między innymi w jego nieuchwytnej definicji.

Dawno już przestano ograniczać się w pojęciu romantyzmu tylko do literatury. Dawno już rozwalono granice czasowe i przestrzenne, czyniąc z romantyzmu coś więcej, niż styl epoki, niż reakcję na klasycyzm. Dawno już określono, że romantyzm jest pojęciem zbiorowym. Nie ma on nic wspólnego z indywidualistycznym pojmowaniem dziejów. Trudność szy, to coś, w czym mieści się zarówno obszernie dyskutowane pojęcie humanizmu społecznego, jak i tajemnicze i niezrozumiałe szlaki naszej historii.

Romantyzm — nie chcę przez to powiedzieć, aby opanowany był fatalizmem, aby w metodzie badawczej używac trzeba było antydialektycznych doktryn. Romantyzm — ze użytę tu często stosowanej definicji prof. Łempickiego — jest odmianą pewnego typu pogiądu na świat, opartego na pierwiastkach uczuciowych.

Te uwagi konieczne są dla rozważenia właściwego naszego zagadnienia, dla zestawienia romantyzmu polskiego i niemieckiego.

HURAGAN W ANGIELSKIM OGRODZIE

Utarło się szkodliwe zresztą i nie przemyślane przekonanie, stosowane często w nowszych podręcznikach literatury i pracach krytyczno-literackich, że romantyzm jest prądem sui generis reakcyjnym, gdyż zwraca się często do przeszłości, stamtąd pragnąc czerpać otuchę i wzor. Że ucieka przed ziemską rzeczywistością w krainy ducha, że gubi się w mglistych metaforach uczucia, że traci realny grunt pod nogami w momencie narodowych tragedii, że jest przez to kierunkiem szkodliwym, prądem złym i godnym potępienia. Nie brak do dzisiaj między nami Sniadeckich, wołających głosem Skargi i potrząsaniem rąk nad głową: „Uciekajcie od romantyzmu, jak od szkoły zdrady i zarazy". Nie trzeba jednak zapominać, że równolegle do Sniadeckiego Mostówski nazwał sonety Mickiewicza paskudztwem.

Nie zapominajmy, że romantyzm wtedy, na tle doskonałych i bezdusznych wierszy klasycystycznych wyglądał jak huragan w angielskim, pięknie strzyżonym ogrodzie. Nie zapominajmy wreszcie, że romantyzm w pierwszej swej fazie literackiej jest niczym innym, jak powrotem do czarnej nocy saskiej.

Wybuch romantyzmu w Polsce nie był bynajmniej eksplozją. Nieśmiała moda literacka, szalenie popularna, bo burząca to wszystko, co wybudowały smutne czasy upadku niepodległości, zatykająca dech w piersi, bo niosąca wielkie hasło wolności. Nic dziwnego, że młodzi powitali romantyzm, jak objawienie, a starzy jak anarchizm.

Ten młody, silny wiatr, wywracający wszystko na opak, przemienił się dopiero w potężny nurt, gdy nabrał rumieńców aktualności politycznej i społecznej, gdy zahartował się w ogniu rewolucji.

PIEŚŃ REWOLUCJI

Romantyzm już od swojej kolebki przechodzi w Polsce w rewolucjonizm, w potrójny rewolucjonizm: w walkę o wyzwolenie jednostki od reguł i konwenansów — rewolucjonizm indywidualistyczny, w walkę o wyzwolenie człowieka, jako członka społeczeństwa — rewolucjonizm społeczny i w walkę o wyzwolenie narodu od jarzma obcych państw — rewolucjonizm narodowy.

Rewolucjonizm indywidualistyczny z właściwą sobie przekorą triumfował w pierwszych, szczenięcych latach romantyzmu polskiego. Wyraziło się to zarówno w wierszu, jak i stroju, zarówno w literaturze, jak i zachowaniu.

Rewolucjonizm narodowy powstaje z chwilą rozszerzania się, jak pożar, jak epidemia, różnego autoramentu związków wolnomularskich, konspiracyjnych. Jest on „modny" u szlachty, witają go ze łzami w oczach napoleończycy. W 1819 „Dekada" woła do poetów, aby porzucili nudne wzdychania do Chloe i strumyków, i gajów, a weszli na rozległejsze pola i „zaszczepiali" w narodzie te uczucia, które go szczęśliwym uczynić mogą".

Rewolucjonizm społeczny wreszcie — bo o nim najwięcej chcemy mówić — jakkolwiek dźwięczał już w pierwszych wzlotach romantyzmu, niezdecydowanie, nieśmiało — wynikł, wyrósł z romantyzmu dopiero po pierwszym chrzcie bojowym, po powstaniu listopadowym. Noc listopadowa zatrwożyła trzeźwiej myślących romantyków: w ciągu jednej nocy stali się oni dojrzali, a z nimi stał się dojrzały cały romantyzm polski. Straszliwe osamotnienie, ciemnota ludu, bezradność, głupota narodowa — to wszystko podziałało, jak strumień zimnej wody. Pod tym strumieniem romantyzm przygasł, aby natychmiast wybuchnąć jeszcze silniejszym, bo pewnym, bo jednostajnym płomieniem.

UPIÓR ROMANTYZMU

Romantyzm, jak anioł stróż, stał u kołyski demokracji polskiej. Dzięki niemu powstały pierwsze, nieśmiałe jeszcze próby zdecydowanych reform społecznych. Dzięki niemu powstania szlacheckie zmieniały się na narodowe, ludowe. Umiejący dalej patrzeć przedstawiciele świata, zamkniętego w Okopach św. Trójcy, przeklinali go za to, ginąc jednocześnie w jego płomieniach. Romantyzm jak upiór krążył po Europie, stukał do zamkniętych okien i serc, rozpalał bruki Paryża i serca emigrantów politycznych. Tam właśnie, na emigracji, wyzwolonej z ciasnych pęt stosunków społecznych, a zarazem dostatecznie oderwanej od kraju, od jego przesądów i beznadziejności, powstawały najśmielsze myśli, najradykalniejsze koncepcje społeczne. Romantyzm mógł być w innych krajach prądem ancien regime'u, prądem filistrów i pięknoduchów — w Polsce, a szczególnie wśród emigracji polskiej był prądem rewolucyjnym.

Mały przykład: jak długo poeci polscy pisali na emigacji i wydawali swoje książki w języku polskim, nieobeznani dobrze z tym językiem cenzorzy dawali swoje placet bez większych trudności. Dzięki temu właśnie powstawały te rzeczy, przerażające w owym czasie swoim radykalizmem społecznym. Manifest Towarzystwa Demokratycznego był swego rodzaju curiosum, przyjętym jak objawienie przez Francuzów, wtajemniczonych w jego treść. Pomyślmy: działo się to w postępowej zawsze Francji. W tej samej Francji, która na życzenie i w obawie przed rosyjskim carem zamknęła Mickiewiczowi dostęp do katedry...

Romantyzm przylepił w opinii zachowawczej świata Polakom etykietę „wiecznych rewolucjonistów". Etykiety tej — ciekawe — jeszcze do dzisiejszego dnia nie można zdrapać. Niech więc już lepiej zostanie. Nie jest chyba tak bardzo hańbiąca...

Pamiętajmy: romantyzm przyniósł Polsce naiwną może nieco „złotą hramotę", naiwnych marzycieli, chcących świat uczynić lepszym, sprawiedliwszym. Pozytywizm, który zresztą nie mógł by istnieć bez romantyzmu, przyniósł nie tylko Judymów, ale i Stańczyka, przyniósł największy rozkwit kapitalizmu w Polsce, który oznaczał wprawdzie postęp, ale dopiero w roku 1905 doprowadził do ponownego zrywu. W tym czasie jednak pozytywizm należał już do przeszłości...

NIEMIECKIE DĘBY NAD RENEM

Jakże w świetle tych uwag wygląda romantyzm niemiecki? Zygmunt Łempicki słusznie widzi w Niemczech wielką centralę zdawczo-odbiorczą. Romantyzm, płynący z Zachodu, z Anglii, z Francji, zanim zawitał do Warszawy, musiał przejść przez niemieckie sitko. Ten czyściec niekoniecznie był dodatnim czynnikiem w historii naszego romantyzmu. Angielska sosna, cedry Libanu, zanim zamieniły się na polską, rosochatą wierzbę, przedtem zieleniały jeszcze, jako niemieckie dęby nad Renem i Sprewą. W Niemczech, filtrujących długo obce wpływy, romantyzm opóźnił swój pochód na wschód o dobrych kilkadziesiąt lat. Co gorsza przy tym, w pierwszym rzędzie przeciekać do nas zaczęła, częściowo za pośrednictwem szkół w zaborze pruskim, częściowo zaś za pośrednictwem studiujących we Wrocławiu czy Lipsku studentów polskich niemiecka filozofia, naszpikowana mętnym mistycyzmem. Mistycyzm ten w Polsce nie znalazł podatnych warunków rozwoju, gdyż polska mistyka zawsze oznaczała się negatywnym stosunkiem do kabalistyczno-gnostycznych fantazji, a to z powodu obcych polskiemu uczuciu i myśli skomplikowanych spekulacji filozoficznych i teozoficznych i typowo polskiej niechęci do fatalizmu. Mistycyzm ten jednak oderwał w przyszłości od życia poezję polską, każąc jej szukać ucieczki w nierealnych porównaniach i spekulacjach.

Romantyzm niemiecki, trudny do uchwycenia czasowo, nigdy,

(Dokończenie na stronie 3)

MARIAN DES LOGES

Odwiedziny w bibliotekach Wybrzeża

I.
Biblioteki naukowe

Okupacja niemiecka całkowicie rozbiła istniejące przed wojną na Wybrzeżu biblioteki polskie, a ich księgozbiory w ogromnej większości uległy zniszczeniu. W Gdańsku bez śladu przepadły cenne biblioteki Tow. Przyjaciół Nauki i Sztuki, zasobna biblioteka Towarzystwa Czytelni Ludowych, biblioteka Ruchu, wspaniała biblioteka prywatna Komisarza Rzplitej Chodackiego, sporo bibliotek mniejszych, w części zachowała się w piwnicach Biblioteki Miejskiej Biblioteka Publiczna (przy gimnazjum polskim) księgozbiór uczniowski tego gimnazjum oraz część biblioteki Rady Kultury. Jeśli się zważy, że sama Biblioteka Publiczna liczyła ok. 16.000 tomów cennych i wartościowych wydawnictw, a biblioteka Rady Kultury 12.000 tomów, ogólną zaś ilość tomów instytucji polskich Gdańska przedwojennego można w przybliżeniu oszacować na około 70.000 tomów, to ilość książek zachowanych stanowi drobny szczątek tej imponującej całości. To, co odnaleziono w Bibliotece Miejskiej nie przekracza 8 — 10.000 tomów. (Dokładne dane będzie można ująć po zakończeniu katalogowania tych zasobów). Większość tych książek, jak Tow. Przyj. Nauki i Sztuki została od razu przez Niemców zniszczona, sporo poszło do papierni, część spłonęła w czasie działań w dodatkowym magazynie Biblioteki Miejskiej.

Podobnie działo się w Gdyni gdzie z zasobnej Biblioteki Miejskiej ocalało też stosunkowo niewiele.

Rekompensatą oczywiście względną i częściową mogłyby być cenne i liczne biblioteki, zwłaszcza biblioteki naukowe niemieckie, w które Gdańsk był wcale zasobny. Niestety i w tym względzie losy wojenne srogo obeszły się z tym miastem. Całkowicie spłonęła duża i cenna biblioteka Politechniki, zawierająca m. in. zbiory niemieckiego Towarzystwa Przyrodniczego, zniszczeniu uległa biblioteka centralna Akademii Lekarskiej. niewiele ocalało z biblioteki Muzeum Miejskiego, spłonęły liczne biblioteki mniejsze i prywatne księgarnie, a zwłaszcza świetnie zaopatrzone antykwariaty Nie dziw, że dziś w Państw. Zbiornicy książek poniemieckich znalazło się stosunkowo tak niewiele książek. Czymże jest 70.000 czy choćby nawet 100.000 książek wobec tego, co zebrano na Śląsku?

W tym ciemnym obrazie jest jednak i jasna plama. — Ocalała Biblioteka Miejska, w ogromnej części ocalały w Malborku, Pelplinie i piwnicach Ratusza Staromiejskiego te części jej zbiorów które zarząd niemiecki usunął z gmachu w obawie przed bombardowaniem. Ocalały też w jej piwnicach część księgozbioru Seminarium Duchownego w Pelplinie (10.190 tomów), Instytutu Bałtyckiego (7.196 tomów).

Nie obeszło się bez strat w Malborku, przepadło, rozszabrowane przed zabezpieczeniem półtora tysiąca rękopisów (ocalało 2.736), ok. 390 inkunabułów(a nie dająca się sprawdzić, (bo przepadła wraz z inwentarzem) ilość sztychów i map. Mimo tych blisko 3.000 rękopisów, ok. pół tysiąca inkunabułów i 250 tysięcy tomów książek, w tym 50 tysięcy starodruków stanowi pozycję o znaczeniu ogólnokrajowym. Mimo że około 50.000 tomów trzeba było dopiero odszukiwać i zwozić mimo tego, że dalsze co najmniej jedna czwarta część zbiorów została bezładnie zrzucona do piwnic i dolnych kondygnacji magazynu już od pierwszej chwili biblioteka służyła naukowcom w miarę swych możliwości, a od lipca 1946 udostępniła czytelnię i poważne części księgozbioru. Dziś w całości uporządkowana całą troskę obraca w kierunku należytego zaopatrzenia swych półek w brakujące dawniejsze i bieżące wydawnictwa polskie.

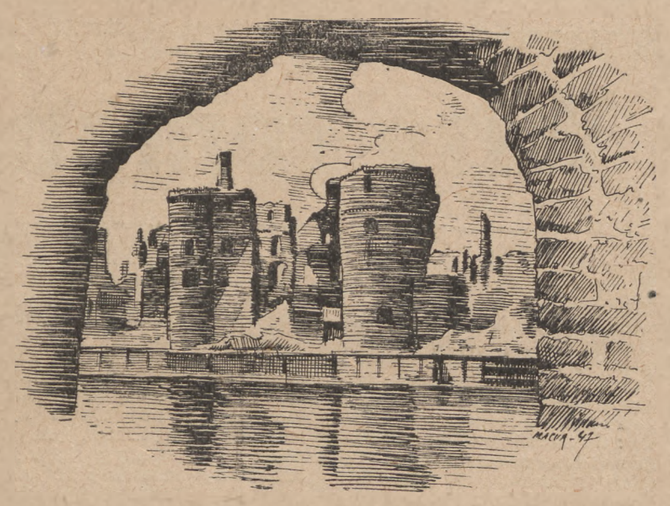

Gdańsk. Widok na ruiny żurawia przy ul. Długobrzeżnej

Mało znane,, a bogate zasoby tego księgozbioru godne są tego, by im poświęcić więcej uwagi i umożliwić rozwój odpowiadający tradycjom. Przede wszystkim należy podkreślić bogactwo świetnie zachowanych często bardzo rzadkich starodruków polskich. Ilościowo ich określenie ze względu na ogromną ilość tzw. klocków, tj. zespołów razem oprawnych broszur jest ogromnie trudne. Może 5.000, a może i dwadzieścia tysięcy, cyfry równie prawdopodobne, jeśli się zważy, że stosunkowo powierzchowne poszukiwania przeprowadzone przed wojną przez dra Miśkowiaka wykazały obecność przeszło 2.000 druków polskich nieznanych Bibliografii Estreichera. Podobnie rzecz się przedstawia w zakresie rękopisów. Wedle katalogów, sporządzonych przez Niemców jedynie ok. 60 rękopisów odnosiło się do Polski. Poszukiwania w ocalałej ich części wykazało obecność 670 rękopisów o takim charakterze. Te momenty stawiają Bibliotekę w rzędzie bibliotek-muzeów, przechowujących pradziwe skarby kulturalne, nie pozbawione jednak żywej aktualności naukowej, zwłaszcza ze względu na niedostępne dotąd bardzo obfite gedanensia w zasobach druków, rękopisów i sztychów. Zwróciły one uwagę specjalistów i szerokiego ogółu w czasie urządzanych w ciągu b . roku wystaw zwłaszcza na wystawie „Stary Gdańsk", którą zwiedziło z górą 6.000 osób. Poza tym jednak na uwagę zasługują też liczne, choć fragmentaryczne, zbiory nowych książek polskich. Zarząd niemiecki z uwagi na to, że biblioteka ta służyła też choć w mniejszym stopniu, niż wrocławski instytut słowiański „Studiom" niemieckich uczonych nad sprawami polskimi, a oczywiście też i propagandzie antypolskiej, zebrał też sporo publikacji polskich, szczególnie treści historycznej. W czasie wojny wcielono też do zbiorów część książek b. Biblioteki Publicznej, a gdy do tego dodamy około 3.300 książek naukowych i tekstów literackich, opracowanych i włączonych w ciągu ostatniego roku zbierze się już zalążek humanistycznej biblioteki naukowej polskiej, która w chwili obecnej może choćby częściowo zaspokoić potrzeby naukowe terenu w zakresie humanistyki. Gdy do tego dodamy, że niektóre działy zwłaszcza historia, historia Gdańska, filologia, filozofia, (zwłaszcza psychologia), sztuka, geografia, prawo i nauki społeczne, teologia, tak pod względem doboru, jak i ilości książek w obcych językach, (oczywiście z przytłaczającą przewagą języka niemieckiego) były zaopatrywane stosunkowo obficie i poziomem swoim mogą odpowiadać przeciętnej bibliotece uniwersyteckiej, bogactwo i znaczenie Biblioteki Miejskiej wystąpi w całej pełni.

Można zapytać, czy bogactwo to jest w pełni i należycie wykorzystane a frekwencja czytelni i wypożyczalni odpowiadają tym zasobom? W pierwszym roku działalności (od lipca 1946 do lipca 1947) wydano do czytelni i wypożyczono 4.498 dzieł w 5.411 tomach. Jeśli się zważy, że jest to okres zapoznawania się nowego na tym terenie społeczeństwa polskiego z biblioteką odległość Biblioteki od centrów życia Wybrzeża ostrą zimą i trudność należytego ogrzania czytelni, to liczby te nie można szacować zbyt nisko. Jeśli jednak przypomnimy sobie, jak to w bibliotekach uniwersyteckich frekwencja przed wojną dochodziła do 100.000 i więcej odwiedzających, wydadzą się one bardzo skromne. To, że ta Biblioteka nie jest należycie i w pełni wykorzystana, że nie związana z żadną uczelnią, nie może korzystać — mimo starań — z przydziałów nowych książek zagranicznych, że wreszcie dotacje, jakie otrzymuje na powiększanie zbiorów są niewspółmiernie niskie do wartości, jaką przedstawia, — jest jednym z paradoksów życie obecnego, spowodowanych zresztą zniszczeniem wojennym. Dzieje się tak, że szereg uczelni wyższych nie posiada niezbędnych dla normalnego toku prac księgozbiorów i dopiero z trudem je montuje, tu zaś, gdzie biblioteka taka istnieje i czeka na czytelników zrujnowanie miasta uniemożliwiło pomieszczenie w jego murach uniwersytetu. W dzisiejszym układzie warunków, istniejąca przy Bibliotece Miejskiej sieć wypożyczalni publicznych, (o których mowa będzie osobno, w dalszym ciągu), ich rozwój i potrzeby do pewnego stopnia przesłaniają zagadnienie właściwego uposażenia i rozwoju biblioteki naukowej. Z rzadka tylko, jak np. artykuł dra M. Łodyńskiego, domagający się stworzenia na zrębie Biblioteki Miejskiej wielkiej biblioteki morskiej, pojawiają się głosy, doceniające tę placówkę.

Należy jednak z ufnością patrzeć w przyszłość, postulat stworzenia w Gdańsku wyższego uniwersyteckiego studium humanistycznego jest na terenie Wybrzeża żywy i zawsze aktualny. Zadatkiem nań jest organizujący się taki wydział przy Wyższym Studium Pedagogicznym, potęgujący się ruch naukowy i kulturalny, które

Daniel Chodowiecki: Portret polskiego chłopca (rysunek czerwoną kredką). Repr. za Rocznikiem Gdańskim, tom IV i V.

niewątpliwie wpłyną wydatnie do podniesienia frekwencji w latach przeszłych.

Wpłynie na to też i to, że biblioteki istniejących wyższych zakładów naukowych na Wybrzeżu, w przeważnej części dopiero znajdują się w stadium organizacji. W tym stanie znajduje się biblioteka Politechniki Gdańskiej, licząca 30.000 tomów, a nie posiadająca jeszcze w odbudowującym się gmachu właściwego pomieszczenia. Brak miejsca warunkuje nikłą frekwencję (163 wypożyczeń) i niemożność choćby rozstawienia na półkach wszystkich książek. W nielepszym położeniu znajduje się Biblioteka Akademii Lekarskiej, która choć otrzymała własny budynek, nie może doczekać się zainstalowania półek na książki z winy przedsiębiorstwa, nie wywiązującego się z przyjętych warunków przetargu. Biblioteka ta liczy 76.203 tomów (łącznie z depozytami), a frekwencja w czytelni doszła do 2.335 osób, liczba wypożyczeń do 2.002 tomów. Obok tych, najpoważniejszych bibliotek należy jeszcze wymienić bibliotekę Wyższej Szkoły Handlu Morskiego w Sopocie, Szkoły Morskiej i Stacji Morskiej C.I.R.M. w Gdyni — organizującą się bibliotekę W. Studium Pedagogicznego w Gdańsku. — Na osobne uwzględnienie zasługują specjalne cenne, choć niezbyt zasobne biblioteki Instytutu Bałtyckiego, dobrze zorganizowane i czynne już od 1945 r. W trzech placówkach, umieszczonych na Wybrzeżu (Wydział Morski w Gdańsku, Stacja Naukowa w Sopocie i Gospodarcze Archiwum Morskie w Gdyni) posiada Instytut Bałt. ok. 9.400 tomów. Frekwencja dochodzi do 3.000 odwiedzin rocznie.

II.
Biblioteki powszechne

Jednym z najważniejszych problemów w zakresie upowszechnienia kultury jest udostępnienie książki polskiej jak najszerszym masom społeczeństwa. Książki łatwo dostępnej, taniej i wartościowej. — Widomym znakiem ważności tej sprawy jest dekret o bibliotekach i akcja Ministerstwa Oświaty w zakresie tworzenia sieci bibliotek powszechnych, w obecnej chwili powiatowych. Akcją tą objęte zostało i województwo gdańskie. Parę cyfr niech zilustruje rozwój i stan tych bibliotek. 1 stycznia 1946 w bibliotekach powiatowych było 2628 tomów. Od tego czasu zasób książek podniósł się do 18.036 tomów w 11 powiatach województwa (o 690%!). Najlepiej zaopatrzoną biblioteką powiatową jest biblioteka w Malborku (3.122), najsłabiej w Elblągu (1.079). Pięć z nich zorganizowało biblioteki ruchome, najmniej Elbląg (3), najwięcej Tczew (40). Pomoc Ministerstwa Oświaty i Referatu Bibliotek Kuratorium O. Szk. (skąd uzyskałem przedstawione tu dane) wyraziła się ilością 11.831 przydzielonych tomów oraz subwencją w wysokości 550.000 zł. Z liczb tych wynika, że główny ciężar utrzymania i rozwoju bibliotek powiatowych wzięło na siebie państwo, co wystąpi tym silniej, jeśli uwzględni się przydział 7 etatów szkolnych do stałej pracy w bibliotekach.

Sieć bibliotek powiatowych uzupełniają biblioteki miejskie: w Gdańsku, Gdyni, Sopocie, Tczewie oraz skromna biblioteka gminna w Stegnie. W stadium organizacji znajdują się biblioteki miejskie w Pelplinie i Lęborku.

Biblioteka Miejska w Gdańsku jeszcze w pierwszym kwartale swej działalności uruchomiła dwie wypożyczalnie publiczne, przydzielając do nich tymczasowo partię książek polskich pochodzących z bibliotek polskich b. wolnego Miasta. W lipcu 1946 r. miała ona już trzy placówki dysponujące 2.398 książkami. W miarę normalizowania się prac bibliotecznych, księgozbiór ten pod dano kontroli, wycofując znaczne partie książek nieodpowiednich, przydzielono książki nowe. W lipcu 1947 roku w 6 już placówkach znalazło się 3.394 książek, frekwencja wypożyczeń wzrosła w tym okresie z 3.302 do 5.042. Lepiej przedstawia się ta sprawa w Gdyni, która w lipcu 1946 miała 3.371 książek, a osiągnęła w 3 placówkach w r. 1947 — 100.094 książek.

Rozwój ten jest wykładnikiem silniejszego wzgl. słabszego subwencjonowania danej biblioteki, przy czym nie należy zapominać, o szczególnych potrzebach tak w zakresie uzupełniania księgozbioru jak i funkcji administracyjnych (np. rewindykacje, utrzymanie dużego gmachu, personelu naukowego itp.), które znacznie obciążają budżet Bibliotek Miejskiej w Gdańsku od strony jej księgozbioru naukowego.

Możnaby mnożyć cyfry, obrazujące ilość książek zakupionych, skatalogowanych itd., to wszystko jednak nie przesłoni faktu, jaskrawego niedoboru książek polskich w obu najważniejszych miastach portowych Polski. Jeśli przeliczymy stan książek w zestawieniu z ilością mieszkańców, to okaże się, że w Gdyni przypada 1 książka biblioteki publicznej na 10 mieszkańców, w Gdańsku liczącym około 150.000 mieszkańców 1 książka sieci wypożyczalń publicznych na około 42 mieszkańców! Obraz ten w Gdańsku można skorygować, dodając nie dającą się bliżej określić ilość książek naukowych polskich nowszych, znajdujących się w księgozbiorze naukowym. Ilość ich nie przekracza około 12.000 do 15.000 tomów. Uwzględniając tę poprawkę uzyskujemy ten sam stosunek co w Gdyni. Odpowiada temu też i 3.200 książek Bibliotek Miejskiej w Sopocie (na 40.000 mieszkańców).

Obraz ten nie jest pocieszający. — Potrzeby czytelnicze zaspokajają dość liczne w miastach Wybrzeża biblioteki dochodowe, jednak są one drogie i z tej przyczyny dostępne jedynie nielicznej warstwie lepiej uposażonych.

Samorząd zwłaszcza zrujnowanego Gdańska, walczy z trudnościami finansowymi i nie jest w stanie radykalnie tej sytuacji uzdrowić, dotacje ze skarbu państwa przewidziane ustawą o bibliotekach wpływają b. skąpo i ze znacznym opóźnieniem. Toteż poszczególne Związki Zawodowe starają się ratować tę sytuację przez zakładanie bibliotek świetlicowych, rozwijają się biblioteki poszczególnych organizacji, jednak to wiele pomóc nie może. Jak głoszą słuchy, Ministerstwo wpierw położyło nacisk na rozwój bibliotek powiatowych, w dalszym planie dopiero na rozbudowę bibliotek miejskich i wojewódzkich. Jakkolwiek jednak ta sprawa się na przyszłość przedstawia, trzeba stwierdzić, że książka polska jest jeszcze dla większości mieszkańców naszego Wybrzeża trudno albo w ogóle niedostępna. A podniesienie kulturalne tych — tak ważnych skupisk ludności polskiej — jest jak sądzę — jednym z najważniejszych zadań polityki kulturalnej naszego państwa.

Marian des Loges

Samotność

Książkę Haliny Marii Dąbrowolskiej o Karolu Irzykowskim*) przeczytałem w ciągu dwu nocy w czasie trwania wrocławskiego Zjazdu Delegatów Związku Zawodowego Literatów Polskich. Dyskusje i hałasy zjazdowe, zawiązywane przyjaźnie, plotki o wielkościach istotnych i koniunkturalnych — wszystko to uciszało się na tle tej lektury o „klerku heroicznym", jak nazwał autora „Pałuby" Stefan Kisielewski. Wydawało się czytającemu, że to właśnie zbliżenie z Irzykowskim nadaje tym obradom odpowiednie tło. To tak jakby Irzykowski zabierał głos w dyskusji, ale nie wysłuchany na sali dopiero w osamotnieniu poczynał wyrastać nad wszystkich.

W tragicznej postaci Irzykowskiego, postaci tak plastycznie przybliżonej poprzez dzieło Dąbrowolskiej załamywało się wszystko co mówiliśmy często zawile, często krzykliwie o życiu literackim, o problemie kultury w Polsce. Spory o prawdę, o humanizm, „walka o treść" naszej literatury, sytuacja materialna pisarza — toć to wszystko sprawy wielkiego Irzykowskiego, z nim, z jego życiem splątane, to jego los.

Nasuwała się więc natrętna refleksja: i po co my to jeszcze raz wałkujemy, popatrzmy za siebie, pomyślmy o Irzykowskim, niestrudzonym organizatorze „wielkiej dysputy międzyludzkiej", na którą zwoływał dyskutantów, lecz ich nie znajdował; pewnie poza kilku intelektualistami w Polsce nie znalazłby dyskutantów i dzisiaj, a spośród głosów jakie rozlegały się w zjazdowej sali wrocławskiego hotelu „Polonia" sympatyzowałby zaiste z tymi, które starały się odfałszować rzeczy dawniej i świeżo zalgane w polskiej rzeczywistości kulturalnej.

W ciągu kilku lat, dzielących nas od śmierci Irzykowskiego dopiero teraz po wyjściu z druku książki Dąbrowolskiej wkracza na łamy naszych pism literackich ten zamilczany nie z powodu zmowy, lecz z powodu niedowidztwa, krytyk i koryfeusz, znakomity kognoskator (rozpoznawca) współczesnej literatury i kultury polskiej. Uderzmy się w piersi i wstydźmy się: źle to o nas świadczy. Jak za życia, tak i po śmierci miałbyś pozostać samotny? A raczej nie tyle samotny, co opuszczony?

Bowiem samotności pragnął, ale opuszczenie boleśnie przeżywał.

W drukowanych u Dąbrowolskiej fragmentach przygotowywanej przez Irzykowskiego a niedokończonej pracy „Mosty" czytamy, że „przyjacielem jest człowiek co mi pomaga być sam". O samotności marzył i jej szukał, wypracowywał ją w sobie i starał się ją ująć w teorię. „Być sam — to bardzo trudno, to sztuka". Samotność rozumiał nie jako pójście na pustynię celem odseparowania się od wrażeń zewnętrznych, od świata lecz jako sytuację psychiczną, w której się człowiek czuje postawiony „wobec nieskończoności, wobec Boga". Materiałem samotności powinny być „wrażenia z życia, z pożycia z ludźmi, wspomnienia, marzenia, sny, zagadnienia psychologiczne i społeczne, literatura". Wszystko to w samotności podlega konfrontacji i oczyszczeniu. „Życie staje u mety, która nie jest śmiercią. Właściwie w religii są tego dostateczne wzory, ale byli także pustelnicy świeccy". Otóż takim pustelnikiem świeckim był Irzykowski. A tymczasem pragnienie samotności w Polsce, to grzech.

I tu może tkwi najbardziej zasadnicza przyczyna zjawiska obcości jakiemu podpadają niektórzy nasi wielcy synowie narodu. Spotkali się z pogardliwym opuszczeniem przez społeczeństwo i środowisko, gdyż zapragnęli mieć swoje oryginalne pustelnie myśli, nie chcieli krzyczeć pochwały chwalonym beniaminkom, nie chcieli być bezkrytyczni w przejmowaniu pojęć i sądów, chcieli być rzeczywistymi t w ó r c a m i. Wspomnijmy Norwida, który pisał:

„Lecz kto tworzy ten wielkim
i samotnym losem
Niesiony jest . . ."

Niestety do tej dostojnej samotności Irzykowskiego dołączyła się nędza zabójczego porzucenia go przez środowisko. To porzucenie było prawie zupełne i trwało aż do przerażającej, bo spotęgowanej grozą warunków po powstaniowych, samotnej nb. katolickiej śmierci. (Kilku tylko przyjaciół myślało o nim serio, zresztą też z konieczności wojennych przeważnie z oddalenia).

Irzykowski tworzył i walczył o nowe kryteria wartościowania w literaturze, o nowoczesność kategorii rozumowania, o pogłębianie wiedzy u literatów, o prawdę we wszystkim, o poziom dyskusji, o wolność wewnętrzną człowieka, obojętnie czy się jest twórcą czy politykiem. Jakże był Irzykowski nieraz podobny do Norwida, jakże nieraz do Brzozowskiego, a nieraz zwłaszcza w dziedzinach tropienia nonsensów i banałów do autora „Obrony niedorzeczności" Chestertona.

Jakie będą dalsze losy wydanych a dziś niedostępnych dzieł oraz niewydanych r ę k o p i s ó w Irzykowskiego? Wierzyć należy, że ktoś je przecież w wydaniu zbiorowym Polsce i światu udostępni. Wierzyć należy, że ktoś kompetentny, jakiś krytyk subtelnego a głębokiego umysłu napisze o nim wyczerpującą ogromną monografię. Może, gdyby nie wojna, powstałaby w Polsce jakowaś „szkoła Irzykowskiego". — Szkoła precyzyjnej myśli teoretyczno - i krytyczno - literackiej. Atmosfera do tego zdawała się dojrzewać. Rosło zainteresowanie Irzykowskim połączone niemal z kultem autora „Walki o treść". O tym, gdyby żył, mógłby np. powiedzieć słowo Konstanty Troczyński, który rozpalał w środowisku poznańskich polonistów zamiłowanie do kontaktów z dziełami Irzykowskiego (była u nas swego czasu taka gorączka za „Pałubą" jak wśród studentek prawa za Van de Velde'm).

Książka H. M. Dąbrowolskiej stanowi pierwsze powojenne odezwanie się sumienia narodowego w sprawie Karola Irzykowskiego. Zawiera w części zasadniczej wspomnienia biograficzne, a obok tego fragmenty uratowanych r ę k o p i s ó w z dzieła p. t. „Mosty", które miało stanowić syntezę jego osiągnięć myślowych i jego credo. Zamykają książkę luźnie zestawione komentarze Dąbrowolskiej do dzieł Irzykowskiego.

Mimo pewnej chaotyczności w opracowaniu, wynikłej widocznie z pośpiechu w jakim książka ta była prawdopodobnie pisana i wydawana (niedbalstwa stylistyczne i chyba zupełny brak korekty — o ironio, tak się ukazuje książka o pedantycznym Irzykowskim!) — praca Dąbrowolskiej jest wartościową i stanowi serdeczne i pełne szlachetnego entuzjazmu wprowadzenie wielkiego „świeckiego pustelnika" w krąg naszej powojennej kulturalnej rzeczywistości.

Książkę tę wydał wydawca prywatny. Czy starczy wydawcy prywatnemu również sił na wydanie pism zbiorowych Karola Irzykowskiego?

Zbyszko Bednorz

* Halina Maria Dąbrowolska „O Karolu Irzykowskim" — Wspomnienia biograficzne i komentarze do dzieł oraz Karola Irzykowskiego część niewydanych rękopisów. Wyd. Wł. Bąka. Łódź - Wrocław.

Obrońcy złego pokoju

(Dokończenie ze strony 1)

jemy się od Sella, któremu zawdzięczam wiele cennych informacji — uchodził dotąd za liberała, broniącego interesów szerokich mas przed wielkimi koncernami. Nic właściwie nie miał przeciwko rozrostowi narodowego socjalizmu, choć publicznie wypierał się wszelkich dlań sympatii. „Komitet" utrzymywał wprawdzie, że jest za dozbrojeniem Ameryki, ale Wheeler sprzeciwiał się de facto wszystkiemu, coby do tego mogło prowadzić, chcąc zyskać poklask kół drobnomieszczańskich, niechętnych służbie wojskowej".

Jeszcze bardziej jednoznaczna była postawa płk. Lindbergha, który żywił przekonanie o wyższości goeringowskiej Luftwaffe nad RAF-em. Nie lubiąc, tak przynajmniej utrzymywał, hitlerowców, nienawidził Anglików. W swoich przemówieniach posługiwał się goebbelsowskimi argumentami, występował przeciwko Żydom w filmie i prasie oraz pod dawał myśl zaanektowania... Kanady, „bo Anglia tej wojny i tak nie zdoła wygrać." Trzeba wreszcie dodać, że za Wheelerem i Lindberghiem stały miliardy Henryka Forda, tego samego Forda, który nie cierpiał Roosevelta i był dumny z orderu otrzymanego z rąk Hitlera.

Pacyfiści

Byłoby jednak błędem przypuszczać, że do „America First Comitet" należeli sami tylko sympatycy nazizmu. Np. prof. Hutchins podpisał razem z b. prezydentem Hooverem (NB. wielkim przyjacielem „dobrych" Niemców) i samozwańczym przywódcą górników Johnem L. Lewisem antywojenną odezwą do narodu, ponieważ był zdania, że trudno walczyć o Rooseveltowskie „cztery wolności" poza granicami, skoro w samej Ameryce nie zostały one jeszcze urzeczywistnione. Do nich przyłączyli się pacyfiści różnego autoramentu, sekciarze, twierdzący, że wolą umrzeć, niż zabijać, oraz pobożni idealiści uważający, że trzeba się modlić o nawrócenie Hitlera, a nie przeciw niemu walczyć. Największym poważaniem wśród pacyfistów cieszyli się kwakrzy, którym senat amerykański przyznał nawet prawo niesłużenia w wojsku. Ciekawe jest, że chrześcijański pacyfizm znalazł energicznych oponentów w niemieckim teologu K. Barthcie i amerykańskim teologu niemieckiego pochodzenia, Reinholdzie Niebuhrze piętnującym tych wiernych którzy pozwalają innym walczyć i umrzeć za chrześcijańskie zasady odmawiając tym zasadom ze swej strony wszelkiego czynnego poparcia.

Arsenał demokracji i nic więcej

Gdy Niebuhr wiosną 1941 r. opowiedział się za aktywnym udziałem Ameryki w wojnie miał przeciw sobie wciąż jeszcze grubą większość. Pogodzono się już wprawdzie z myślą, że Stany mają być „arsenałem demokracji" oraz — po ograniczeniu ustawy o neutralności — przyjęto bez większego szemrania zaprowadzenie służby wojskowej, stworzenie silnej floty i udzielanie w ramach umowy „lend-lease" wydatnej pomocy materiałowej przeciwnikom Hitlera, przewożonej pod osłoną okrętów wojennych USA przez Atlantyk, ale powszechnie sądzono, że dalej nie należy się posuwać. Nawet gdyby doszło do potyczek z niemieckimi łodziami podwodnymi.

Na ankietę Instytutu Gallupa z zapytaniem, czy Ameryka winna przystąpić do wojny, odpowiedziało w lecie 1941 r. 45 proc. tzw. inteligencji „tak" a 55 proc. „nie". W szerokich masach robotniczych i farmerskich stosunek był jeszcze bardziej znamienny, bo na „nie" padło tu aż 79 proc. Ale ponieważ już w styczniu tego samego roku 68 proc. ludzi ze wszystkich warstw głosowało za pomocą dla Wielkiej Brytanii, stało się jasne, że ogół amerykański był gotów przyjąć ryzyko wypowiedzenia wojny Hitlera, nie aprobując jednocześnie w swej większości żadnej inicjatywy wojennej ze strony Stanów. Z tymi nastrojami musiał się liczyć Roosevelt, tym bardziej, że zobowiązał się uroczyście do nieposyłania żadnego żołnierza amerykańskiego za morze, o ile wojna nie zostanie Stanom Zjednoczonym wyraźnie narzucona.

W obliczu takiej sytuacji stan zawieszenia mógł jeszcze trwać przez czas nieograniczony. Poświadcza to wielu znawców stosunków za oceanem. Dostarczano by dalej materiał wojenny Aliantom, na tyle na ileby na to pozwalała wojna japońska i produkcja na potrzeby ludności cywilnej i nie jest wcale wykluczone, że Ameryka do końca nie wzięłaby udziału w walce z III Rzeszą. I tu — jak słusznie podkreśla Sell — należy upatrywać wielki błąd Hitlera, który sądził, iż wypowiedzenie Stanom wojny po japońskim ataku na Pearl Harbour jest tylko uprzedzeniem podobnego kroku ze strony Ameryki, iż między „wrogą neutralnością" a wojną sensu stricto nie ma zasadniczej różnicy. W rzeczywistości jednak dopiero fakt dokonany rozwiązał Rooseveltowi ręce i pozwolił mu zażądać od narodu takich ofiar w postaci ograniczeń, o których przed tym nie mógł nawet marzyć. Naród amerykański nolens volens znalazł się w walczącym obozie antyniemieckim, choć naprawdę obchodziła go jedynie rozprawa z Japonią, uważaną za jedynego rzeczywistego i niebezpiecznego wroga.

Gdyby Hitler . . .

Konkludując można powiedzieć: że wojna przeciwko Rzeszy Niemieckiej nie była w społeczeństwach anglosaskich popularna, że upatrywano w niej — tak jak to było z antyniemieckim nastawieniem — li tylko zło, którego nie dało się uniknąć. U Anglików doszedł wprawdzie moment bezpośredniego zagrożenia, ale ponieważ nie zaznali okupacji a w wiadomościach z jęczącego pod hitlerowskim butem kontynentu widzieli raczej propagandę, niż świadectwo straszliwej prawdy, ich zapał wojenny był na ogół mocno umiarkowany. Wydaje się też, że przejęcie się ideą walki o demokrację a przeciw dyktaturze było na Wyspie czy w Stanach nie tyle wynikiem istotnych dążeń obu narodów, ile skutkiem forsownej propagandy obu rządów, potrzebujących dobrze brzmiącego hasła.

Gdyby Hitler zadowolił się zagarnięciem wschodniej Europy, gdyby w r. 1939 nie uczynił wszystkiego, by tylko przypadkiem nie dopuścić do utrzymania pokoju i okazał nieco więcej zrozumienia dla zachowania pewnych pozorów, Anglicy nie zdecydowaliby się nigdy na zbrojną rozprawę z nazistowską tyranią i Churchill nigdy nie byłby doszedł do władzy. Podziwialiby do spółki z Amerykanami (głuchymi na zaklęcia Roosevelta) w dalszym ciągu niemieckie zalety, oburzaliby się „w zasadzie" na niektóre zbyt jaskrawe metody rządzenia i uważaliby, że istniejący stan rzeczy nie jest wprawdzie idealny, ale w każdym razie lepszy od wojny. A ewentualny pochód Hitlera na Związek Radziecki przyjęliby na pewno z głębokim zadowoleniem, szczególnie gdyby Fuehrer dał jeszcze raz słowo honoru, że to ostatni kąsek, który zamierza spożyć. Tego wszystkiego Hitler nie pojął. Sam wcisnął miecz w rękę angielskim i amerykańskim żołnierzom, sam zmusił anglosaskie narody, by walczyły przeciw niemu i wyzbyły się choć na krótko proniemieckich sympatii. Z niemałym trudem dokonał dzieła niełada. . .

Egon Naganowski

Książka Ziem Odzyskanych

Bohdan Biliński: Kłodzko. Kłodzko 1947, s. 36 + 4 nlb., 13 ilustracyj i plan miasta, nakł. Pol. Towarzystwa Tatrzańskiego Oddz. w Kłodzku.

Po raz pierwszy byłem w Kłodzku latem r. 1946. Uzbrojony w niemiecki wykaz zabytków na Śląsku (Lutscha) zwiedziłem co dopiero wnętrze monumentalnego kościoła N. Marii Panny (parafialnego), wyszedłem na zewnątrz i zauważyłem grupę kilkudziesięciu dziewcząt stojących dosyć bezradnie wraz z kierowniczką przed kościołem. Okazało się, że są to uczennice liceów warszawskich które zwiedzały Kłodzko, „a tu, o co kogo spytać nic nie wie, bo dopiero niedawno sam przyjechał, a drukowanego przewodnika nie ma". Nie wiele myśląc oprowadziłem wycieczkę po kościele, dzieląc się z nią swymi wiadomościami.

Tak było półtora roku temu. Obecnie wycieczki nie będą się już błąkać bezradnie po Kłodzku, czekając na przypadkowego informatora. Kierownik Biblioteki Miejskiej w Kłodzku i gorący miłośnik miasta, p. Bohdan Biliński opracował krótki przewodnik po Kłodzku, znalazł nakładcę (Pol. Tow. Tatrzańskie) i z końcem roku 1947 druk ukończono. Opracowany i wydany w Kłodzku jest on zarazem pięknym świadectwem budzenia się miejscowego życia kulturalnego.

W przewodniku podał autor garść wiadomości o przeszłości miasta starając się możliwie skrzętnie wynotować to, co miało związek z Polakami i Polską. Podał krótko, może nawet zbyt krótko, informacje o Kłodzku dzisiejszym i o topografii miasta. Dał przegląd zabytków, w które Kłodzko jest szczególnie bogate. Nie zapomniał o okolicach miasta, godnych zwiedzenia. Zaopatrzył swe dziełko w kilkanaście ilustracyj, przeważnie dobrych technicznie, w plan miasta, a nawet w wykaz historycznych prac polskich i niemieckich, z których korzystał. Szkoda, że już nie zdążył wykorzystać cennej pracy prof. Piwarskiego o historii Śląska (Katowice — Wrocław 1947). Szkoda również, że nie dał ani jednego zdjęcia z prześlicznego kościoła N. Marii Panny; zarówno jego widok zewnętrzny, jak i wnętrze wprost prosiły się o kilka co najmniej ilustracyj. Można sobie było raczej darować jeden z trzech widoków ogólnych Kłodzka, herby Henryka Podiebrada, czy miedzioryt odbity niefortunnie jako negatyw. Poskąpił autor także jakichkolwiek informacyj o zawartości zbiorów Archiwum Miejskiego, Biblioteki Miejskiej i Muzeum Miejskiego. Wreszcie załączony plan miasta jest miejscami prawie nieczytelny.

Wszystkie te braki wynikły głównie z niedociągnięć technicznych oraz z powodu małych środków finansowych (skróty). Autor nie jest zresztą historykiem z zawodu, więc tu i ówdzie się potknął. Dał jednak rzecz bardzo pożyteczną, a sądzić wolno, że w drugim wydaniu uniknie niedociągnięć wydania pierwszego.

Józef Mitkowski.

Spółdzielnia CZYTELNIK Wydawnicza

W nawiązaniu do wypróbowanych tradycji polskich i opierając się na wzorowych wydawnictwach zagranicznych

Bibliotek Romansów i Powieści

zapewnia miesięcznie 2 tomiki wyborowej, ciekawej i taniej lektury, wydając dzieła pisarzy polskich i obcych.

Dotychczas ukazały się:

T. T. Jeża: **Narzeczona Harambaszy**
Cz. Centkiewicza: **Wśród lodów Północy**
G. de Maupassanta: **Baryłeczka i inne opowiadania**
B. Dąbrowskiego: **114-sta start!**

PRENUMERATA:

z odnoszeniem do domu		przy odbiorze na poczcie
zł 100	miesięcznie	zł 80
zł 300	kwartalnie	zł 230

Wpłaty i zapisy przyjmują księgarnie „CZYTELNIKA", listonosze i urzędy pocztowe. 55
KONTO P. K. O. I — 6810

Najwygodniej jest zaabonować „Odrę" w najbliższym urzędzie pocztowym. Obędzie się bez bójek przed kioskami.

KAZIMIERZ WINKLER-AUGUSTOWSKI

Łza entuzjazmu

Tutaj na Śląsku, kiedy
przez okno wychylę się latem,
niebo mi jedzie nad głową
rdzawe jak późny liść,
Leniwa wisła dymów
ulicą jak wąskim korytem
toczy się, gasząc słońce
i tylko suchy syk
popiołem prószy na głowę
w zmęczonym trzepocie
firanki.

Gdy baba, gruba jak balon
w żółtych, trzeszczących mu-
szelkach
sprzedaje zdyszanym malcom
słodycz mroźną i barwą
nęci różową jak owoc
lub matki bluzka niedzielna,
patrzę przez okno, obok
uprzejmie jasnym głosem
Warszawa nadaje odczyt.

A w nocy, czy wiecie, ah, w nocy
grają jazzowe orkiestry
i ciepłe mulatki nucą:
„Yesterday my friend and I...",
gazowe, puszyste latarnie
bujają się koło baru
i kwitną białowielkie kufle
w szeleście spragnionych warg.

Podmalowana ogniem
rzeka powolna i duszna
płynie i rudy księżyc
zanurza się w niej po nos,
wysiadam wtedy z okna,
żegluję ciemną ulicą,
piórem przebieram jak wiosłem,
harmonia w barze gra.

A napotkanym górnikom,
idącym na noc do kopalni,
kopalni głębszej niż kufel,
gdzie świdrów szczurze łebki tną
czarne, brzuchate filary,
szepczę nieśmiało, lecz żarliwie:
„Szczęść Boże, szczęść Boże" i łza
zaczyna szczypać mnie w oku,
nabrzmiewa jak pączek wiosenny
na śląskim drzewku
w szarym parku.

Tkaniny i świątki

Każda sztuka, a więc i sztuka ludowa, była wyrazem nie tylko kultury twórcy i środowiska, ale i terenu, wyrazem przeżyć psychicznych, niejednokrotnie walki z samym sobą lub otoczeniem, wykładnikiem prądów społecznych, naukowych, filozoficznych, zwierciadłem epoki. Związek ten był zawsze ścisły. Współzależność powiązanych ze sobą elementów, zależnie od stopnia indywidualnego reagowania, tworzyła arcydzieła, często historię, przemawiającą językiem prostym lub prawdą zaklętą w obrazie, rzeźbie, ceramice, materiale.

Najprostszą w wyrazie była jednak zawsze sztuka ludowa. Jej najbardziej charakterystyczną cechą było zawsze piękno, bezpretensjonalność i prawda. Prawda żywa, pulsująca ekspresją i dynamiką, działającą na wyobraźnię drogą niezwykle mocnej kompozycji i ujęcia artystycznego.

Tym zapewne tłumaczyć należy okoliczność, że sztuka ludowa Warmii i Mazur, zarówno w swojej formie jak i treści posiada w sobie cechy prawdziwego, żywego piękna.

Sztuka Warmii i Mazur, to — historia ziemi, żyjącej przez wieki całe pod twardą ręką germańskiego satrapy. W tej sztuce jest może mniej artyzmu lecz za to wiele duszy. Obojętnie czy będzie to rzeźba, ceramika lub obraz. W najprostszym sprzęcie domowym czuje się powiew polskości. Czy będzie to skrzynia dębowa, czy stół spojony listwami i klinami, czy zydel, czy „policka" do łyżek — z wszystkich tych przedmiotów domowego użytku wieje tchnienie naszej polskiej wsi.

W okresie przedwojennym wszystkie muzea Warmii i Mazur, a było ich na tych ziemiach kilka, pełne są eksponatów wyrobów ludowych, zdobiących wytworne wnętrza jasnych sal lub ciemnych komnat zamkowych. Szalejąca zawierucha wojenna ro-1945 zmiotła z powierzchni wszystko prawie, co przedstawiało dla sztuki polskiej jakąkolwiek wartość. Czego nie strawiły pożary, to uległo zdewastowaniu lub wywiezieniu poza granice kraju. Z do niedawnych bagoctw pozostały zaledwie szczątki i to szczątki żałosne. W dogasających zgliszczach ginęły wieki rodzimej sztuki polskiej, ginęła historia, tworzona z wysiłkiem przez pokolenia tragicznych mieszkańców Warmii i Mazur.

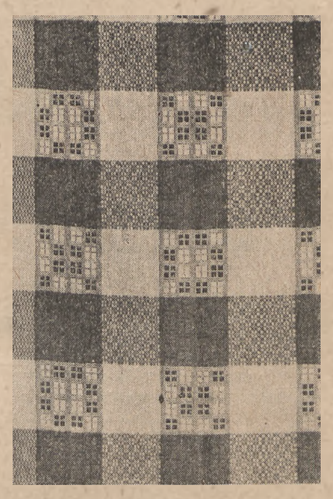

Tkanina ludowa bawełniana w kolorze biało-czerwonym o bardzo subtelnym układzie kwadratów. Ze wsi Małe Bagnowo pow. mrągowski

Pokuszenie się więc o urządzenie Wystawy, obrazującej dorobek artystyczny miejscowej ludności, zaledwie po upływie trzech lat od chwili zakończenia wojny, zakrawało na pewne szaleństwo. Okazało się jednak wbrew wszelkim twierdzeniom, że osiągnięcie to jest możliwe, że nieliczne, bezcenne już dziś skarby sztuki ludowej, rozproszone po całym województwie, sponiewierane i często niedoceniane, będzie można zebrać przy pewnym wysiłku i ukazać oczom ludzkim w całym ich dostojeństwie i historyczno-naukowej chwale.

Zgromadzono na wystawie to wszystko, co zebrać było można. Sięgnięto do muzeum w Szczytnie, do kościołów, mieszkań prywatnych, pracowni. Największa ilość eksponatów pochodzi jednak z Muzeum Powiatowego w Szczytnie. Powiat ten, przedziwnym jakimś zbiegiem okoliczności, uratował wiele cennych arcydzieł stanowiących prawdziwe bogactwo zarówno pod względem wartości artystycznych jak i historycznych. W pewnej mierze to samo można powiedzieć o kościele ewangelickim w Pasymiu (pow. Szczytno), jak i kościele wiejskim w Rychnowie (pow. Ostróda), z których wypożyczono część cennych zabytków. Reszta wystawionych eksponatów stanowi własność muzeum w Olsztynie, instytucji oraz osób prywatnych. Wystawa sztuki ludowej Warmii i Mazur jest pierwszą tego rodzaju wystawą na tych odwiecznie polskich ziemiach.

Wystawę podzielono na kilka działów. Najbogatszym z nich i najsilniej reprezentowanym jest dział tkacki. Jest to w całym tego słowa znaczeniu tkactwo ludowe autentyczne, a tendencyjnie usuwane w cień przez naukę niemiec

Fragment krucyfiksu. Rzeźba w drzewie z Plaswiką pow. braniewski.

ką, kokietującą kobiernictwo z pominięciem jednak wzorów i ornamentów ludowych.

Subtelność oraz finezja rysunku wyrobów tkackich zdumiewa pięknem wykonania oraz wysokiej klasy artyzmem. Z dalszych działów wymienić by należało: sprzętarstwo, ceramikę, malarstwo i rzeźbę, wyroby drzewne, metalowe oraz plecionkarstwo. Trudno tu przeprowadzić wnikliwą analizę naukową i historyczną eksponatów. Należy jedynie podkreślić ich ogromne wartości artystyczne, uwypuklające w sposób szczególny możliwości twórcze ludu warmińsko - mazurskiego. Wystawa Ludowa Mazur i Warmii ma, poza osiągnięciem czysto artystycznym jeszcze i znaczenie dydaktyczne. Społeczeństwu województwa olsztyńskiego umożliwia poznanie terenu i dziejów duchowych miejscowej ludności i związania tych, którzy pozostali, a ściśle mówiąc, Warmii i Mazur z Macierzą.

I w tym właśnie leży główna zasługa organizatorów i twórców Wystawy Sztuki Ludowej Warmii i Mazur w Muzeum Olsztyńskim.

Zygmunt Milewski

Przegląd Socjalistyczny

Już się ukazał numer 3 (marcowy) „Przeglądu Socjalistycznego" o następującej treści:

Głowacki T.: **Manifest Komunistyczny**
Piwarski K.: **Wiosna Ludów**
Skrzypek J.: **Wiosna Ludów na ziemiach polskich**
Kuszko E.: **30-lecie Armii Radzieckiej**
Kaduszkiewicz A.: **Tło i znaczenie polsko - radzieckich umów gospodarczych**
Arski St.: **Na ringu wyborczym USA**
Żerkowski J.: **U podstaw zmian strukturalnych spółdzielczości w Polsce**
Gajewski M.: **Podstawy gospodarcze i finanse samorządu terytorialnego**
Reczek Wł.: **Plan i organizacja kultury**
Dobrowolski S. W.: **25 lat pracy TUR**

KARTKI z HISTORII SOCJALIZMU

Krygierowa St.: **Karol Marx**

NA HORYZONCIE

W Polsce — W ZSRR — W Europie — Za morzami

IDEE — MYŚLI — ZAGADNIENIA

Dębowski S.: **Edward Dembowski**
Dietrich T.: **Od ustroju kapitalistycznego do socjalizmu**
A. K.: **Chleb a kryzys Francji**
Gross Z.: **O nowe formy prawne dla związków zawodowych**
Mamrotowa W.: **Problematyka reformy ubezpieczeń społecznych**
Kłuszyńska D.: **O właściwe metody walki z alkoholizmem**
Płomieński J. E.: **Nowy Mickiewicz**
Pasierbiński T.: **O upowszechnienie samokształcenia**

Z życia partii
Książki nadesłane
Notatnik referenta (59)

CENA NUMERU 40,— ZŁOTYCH!

ZDZISŁAW OBRZUD

Mourir pour Dantzig?

Na okładce publikacji w języku francuskim z maja r. 1947), poświęconej naszym Ziemiom Odzyskanym, oglądamy dekoracyjną kompozycję Stryjeńskiej. Stylizowane ryby i sieci rybackie, stanowiące tło kompozycji, symbolizują Odrę, odzyskaną rzekę polskich przeznaczeń. Powrotowi Polaków do starych ziem zachodnich i granicy słowiańskiej rzeki Odry poświęcona jest publikacja.*

Krótkie słowo wstępne stwierdza ustalenie polskiej granicy państwowej na Odrze i Nysie Łużyckiej w układach w Jałcie i Poczdamie i uzasadniony powrót Polaków na ziemie historycznie polskie, opanowane przez Niemców w ich wiekowym naporze na wschód:

„La Pologne, en occupant les territoires situés entre ses anciennes frontières occidentales et l'Oder, ne fait que rentres en possession de terres historiquement polonaises, dont les Allemands s'étaient emparés dans leur marche séculaire vers l'Est..."

Po tym wstępie omawiają autorzy publikacji znaczenie nowych granic Polski dzisiejszej dla sprawy bezpieczeństwa i pokoju w Europie oraz zagadnienie zapobieżenia ponownej agresji niemieckiej

Zachodnia granica Polski ustanowiona w r. 1918 w Wersalu była niesprawiedliwa, sztuczna i niepraktyczna, toteż rychło stała się zaczynem nowej wojny. Nowa granica: rzeki Odry ma podobne znaczenie jak na zachodzie granica rzeki Renu, jest realną gwarancją bezpieczeństwa od ponownej agresji militaryzmu niemieckiego i podcina samą podstawę niemieckiego naporu na wschód („Drang nach Osten"), pozbawiając go jego baz wyjściowych:

„Avrec l'Oder, la Pologne retrouve une frontière naturelle, de valeur stratégique certaine, pendant à l'Est de la frontière du Rhin. Elle est une garantie réelle contre tout retour agressif du militarisme allemand. Elle le prive de ses bases de départ qu'il n'a cessé, de siècle en siècle, d'aménager entre Oder et Vistule. Elle coupe le „Drang nach Osten" dans son élan".

Główną troską współczesnych ludzi dobrej woli w Europie jest bezpieczeństwo i pokój („sécurité et paix"). Niemcy od wieków zakłócają pokój narodów Europy, a w ostatniej wojnie stali się katami całego kontynentu europejskiego, zniszczyli wiele majątku narodów sąsiednich i wymordowali w masowych i systematycznie organizowanych rzeziach mnóstwo ludzi. W Polsce zamordowali ponad 17% ludności i zniszczyli ponad 38% majątku narodowego. Niemcy naporu na wschód i Niemcy pruskie i hitlerowskie, przepojone duchem Poczdamu i narodowego socjalizmu Hitlera i Rosenberga, są stałym niebezpieczeństwem dla całej Europy. Jeśli w Europie ma zapanować pokój, to w środku naszej części świata mogą istnieć tylko takie Niemcy, które są wolne od prusactwa i od ducha hitleryzmu. Tylko szczerze demokratyczne Niemcy mogą współpracować z Europą, a odprusaczenie („déprussianisation") i odhitleryzowanie Niemiec są podstawowymi warunkami demokracji niemieckiej. — Autor, czy autorzy, rozważań pt.: „Bezpieczeństwo i pokój główną troską" (Sécurité et paix — principale préoccupation) podaje, — czy podają, — w konkluzji swoich rozważań następujące elementy rozwiązania problemu niemieckiego:

Reparacje, granica Odry i Nysy, umiędzynarodowienie Zagłębia Ruhry, współpraca wszystkich aliantów w kontroli nad Niemcami, demokratyzacja Niemców.

Po zasadniczych rozważaniach zagadnienia niemieckiego, zagadnienia pokoju w Europie i praw Polski do Ziem Odzyskanych, następują bilanse: wysiłku gospodarczego i wysiłku kulturalnego Polaków na Ziemiach Odzyskanych Polski zachodniej w latach: 1945—1947.

Zaznaczono, że dzisiejsze polskie Ziemie Odzyskane to tereny, z których już od dawna Niemcy uciekali, których nie uważali właściwie za ziemie niemieckie. Tereny te zasilił polski robotnik sezonowy, bez którego nie mógł się obejść zwłaszcza obszarnik pomorski i wschodnio-pruski. Rozprawka przedstawiająca wysiłek i osiągnięcia gospodarcze okresu lat: 1945 — 1947 porusza także sprawę ludności Śląska, która się składa z trzech różnych elementów: z autochtonów, repatriantów oraz imigrantów. W zwięzłym sprawozdaniu, popartym przejrzystą statystyką, przedstawione zostały wyniki pracy nad odbudową i rozbudową przemysłu i nad zużytkowaniem ziemi ornej, zaniedbanej wskutek przeżyć wojennych. Analiza produkcji przemysłowej poparta jest wykresami. W sprawozdaniu z pracy nad odbudową i usprawnieniem komunikacji specjalnie uwypuklono ważność rzeki Odry jako arterii komunikacyjnej. Artykuł o wysiłku w pracy gospodarczej w latach: 1945—1947 uwzględnił potrzeby i wymagania naszego planu trzyletniego.

Ostatni rozdział publikacji, przedstawiający wysiłek w pracy kulturalnej, równie dobrze wykazuje postęp oraz istotne osiągnięcia. W szkicowym tylko zarysie historii Ziem Odzyskanych słusznie przypomniano, że Śląsk był kolebką cywilizacji polskiej („La Silésie, berceau de la civilisation polonaise"), i że poważni uczeni i działacze niemieccy jeszcze z końcem XVIII i w pierwszej połowie XIX stulecia stwierdzali polskość ludności Śląska i Pomorza. Jasno przedstawiono rozwiązanie zagadnienia populacyjnego Ziem Odzyskanych, ku któremu dzisiaj zmierzamy, oraz przedstawiono organizację szkolnictwa wyższego i osiągnięcia w pracy kulturalnej ośrodków Górnego i Dolnego Śląska oraz terenów bałtyckich. Omówiono trudności i prace takich instytucji jak muzea i biblioteki, przedstawiono bilans życia umysłowego Wrocławia w roku 1946. Na końcu omówiono pracę Polskiego Radia na Ziemiach Odzyskanych. W konkluzji wszystkich rozważań publikacji słusznie zauważono, że w nadzwyczaj trudnych warunkach, po straszliwych zniszczeniach najsroższej dla Polaków wojny, dobrze rozpoczęto rozumnie uplanowaną pracę kulturalną o długim oddechu, do dalekiej mety zdążającą, i że dzisiejsza demokracja polska już może się poszczycić pięknymi osiągnięciami swej pracy cywilizacyjnej na Śląsku, na Kaszubszczyźnie i w kraju pruskich Mazurów.

* * *

Publikacja Polskiego Biura Informacyjnego w Paryżu (Bureau d'Informations Polonaises) jest niewątpliwie imprezą pożyteczną i dobrze informuje Francuzów o ciężkim a owocnym trudzie cywilizacyjnym Polaków na Ziemiach Odzyskanych, o naszej racji stanu na zachodzie i ważności ochrony praw Polski na Śląsku, Pomorzu, Mazurach i Warmii dla pokoju europejskiego. Sprawdzdania z pracy gospodarczej i kulturalnej są zwięzłe i rzeczowe i mogą się przyczynić do wzbudzenia szacunku cudzoziemców dla naszego wysiłku. Tylko taka propaganda, która wykazuje w sposób rzeczowy konieczność naszej suwerenności na Ziemiach Odzyskanych w interesie pokoju europejskiego i pokazuje istotne osiągnięcia naszego, rozumnie planowanego wysiłku cywilizacyjnego, może nam zjednać cudzoziemców. Tylko wyniki naszej pracy cywilizacyjnej zapiszą na nasze dobro postronni. Ostatecznie, człowiek żyje po to, aby budował cywilizację. Dobrze, że w języku francuskim ukazała się tego rodzaju publikacja; w tej dzisiejszej Francji, w której, oprócz naszych szczerych przyjaciół, znajduje się jeszcze spora liczba oportunistów, którzy w roku 1940 głośno wołali, że nie myślą „mourir pour Dantzig".

Nie mając żadnego zastrzeżenia co do TREŚCI pożytecznej publikacji, musimy jednak zaznaczyć, że jej SZATA ZEWNĘTRZNA zbyt wiele pozostawia do życzenia. Fotografie są wprawdzie na ogół umiejętnie dobrane, ale ich wykonanie jest bardzo skromne, zwłaszcza jak na wydawnictwo propagandowe. Czcionki tekstu zbyt drobne, zdobnictwo ilustracyjne poniżej przeciętnego poziomu. Koloryt ilustracji na okładce nie posiada tego ciepła, cała jej kompozycja nie posiada tego subtelnego rytmu i tej dziwnej lekkości, które zwykle podziwiamy w dekoracyjnych kompozycjach Zofii Stryjeńskiej. Budzi się w nas podejrzenie, że nie jest to autentyczna kompozycja znakomitej malarki, tylko jakaś niedbała i nieudolna przeróbka któregoś z jej prac. Szkoda, że forma zewnętrzna pożytecznej publikacji tak mało wartościowa. Francuzi lubią rzeczy estetyczne, rzeczy piękne. I są przyzwyczajeni do znacznie wyższego poziomu graficznego i artystycznego tego rodzaju publikacji: francuskich, angielskich, amerykańskich.

ZDZISŁAW OBRZUD.

*) **La Pologne et ses terres recouvrees — Mai 1947 — Editee par le Bureau d'Informations Polonaises 12 bis, avenue Elisee-Reclus, Paris 7.**

Cieszmy się, bo ukazała się nowa książka szczecińskiego autora

Okres, w którym region szczeciński był niezapisaną i niemal białą kartą, należy już w zasadzie do przeszłości. Może jeszcze nie wszystkie części tej karty zapisane są dość wyczerpująco, a przede wszystkim systematycznie, jednakże nie widać na niej już tych białych plam, przed którymi stanęliśmy w roku 1945. Artystyczny proces przywrócenia tych ziem polskości należy do ciekawych zjawisk. Okazało się mianowicie, że ziemię tę opisało pióro polskich pisarzy daleko wcześniej aniżeli zdobył ją bagnet żołnierza. Nim bowiem żołnierz wytyczył nową granicę nad Odrą, już czekały na światło druku trzy wielkie epopeje, poświęcone w dużej mierze tej ziemi, leżącej po obu stronach Odry. Podczas okupacji, kiedy linia frontu przebiegała jeszcze na ziemi rosyjskiej, powstawała słynna saga powieściowa „O jarlu Broniszu" Jana Władysława Grabskiego. Podczas okupacji wdzierał się swym „Dzikowym skarbem" Karol Bunsch pod Gdynię w kraj Lucikawików, leżący w dzisiejszej południowej części Pomorza Zachodniego. Również podczas nocy okupacyjnej oświetlała drogę Antoniemu Gołubiewowi wizja pochodu Bolesława Chrobrego do wolińskiego Jomsborgu. Toteż w chwili, gdy żołnierz polski osadzał mocno bagnet na granicy polskiej, wymienieni pisarze mogli już spokojnie drukować początki swoich powieści historycznych o tych właśnie ziemiach. Czy źródłem powstania wymienionych powieści była jakaś rekompensata uczuciowa za długoletnią niewolę okupacyjną, czy też jakieś przypadkowe wyczucie zbliżających się czasów — nie wiadomo. Faktem jest jednak, że pisarze ci wcześniej niejako dostrzegli tę ziemię, zanim stała się ona realną częścią nowego państwa polskiego. Mniejszej miary, choć bardzo pożyteczną jest powieść dla młodzieży Anny Świrszczyńskiej p. t. „Arkona, gród Świętowita", wydana w r. 1946. Byłoby rzeczą ciekawą oświadczenie autorki, kiedy powzięła myśl napisania swej powieści o ruglańskiej wyspie.

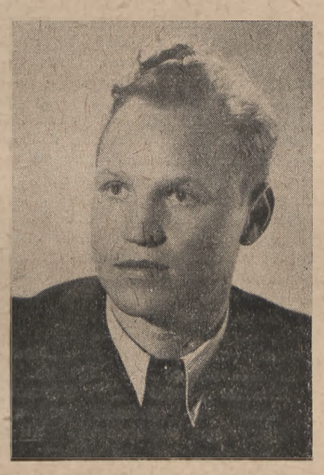

Tymoteusz Karpowicz

Do tych powieści, nawiązujących bezpośrednio czy pośrednio do ziemi szczecińskiej, doszły jeszcze w ciągu ostatnich dwóch lat różne prace naukowo - publicystyczne, wypełniając dotkliwą lukę w naszej literaturze pomorzoznawczej. Dają one dość bogaty wgląd w rozliczone aspekty ziemi pomorsko - szczecińskiej. Należy do nich książka pierwszego kuratora okręgu szczecińskiego, a jednocześnie znanego krytyka i publicysty, Stanisława Helsztyńskiego p. t. „W piastowskich grodach Pomorza Zachodniego" (wydana w Szczecinie), dalej Stanisława Srokowskiego „Pomorze Zachodnie" oraz Leszka Gustowskiego „Szczecin, fakty i liczby". Nawet jeden z książąt pomorskich, Kazko szczeciński, doczekał się już osobnego opracowania w książeczce Krysty ny Pieradzkiej. W przygotowaniu Instytutu Zachodniego znajduje się wielka monografia Pomorza Zachodniego pod redakcją Janusza Deresiewicza.

Do szeregu tych prac przybyły ostatnio dwie książki szczecińskich autorów, wydane z końcem roku 1947, w Szczecinie. Zasługują one na tym baczniejszą uwagę, że są wyraźnym dowodem rozwijającego się coraz żywiej ruchu kulturalnego Szczecina. Piszą bowiem szczecińscy literaci, wydaje szczecińska spółdzielnia wydawnicza „Polskie Pismo i Książka", ilustrują szczecińscy graficy. Pierwszą z nich jest książka Walerlana Lachnitta, o której już informowaliśmy w jednym z poprzednich numerów, drugą, wydaną w grudniu ub. r. są „Legendy Pomorskie" Tymoteusza Karpowicza. I ta książka młodego poety szczecińskiego włącza się w ambitny nurt odtworzenia i przybliżenia przeszłości Pomorza Zachodniego. Czyni to jednak inaczej aniżeli książka Lachnitta, która ogranicza się do właściwej historii. Siedemnaście legend zawartych w książce Karpowicza to już nie historia, ale wyłącznie świat baśni i legend. Jednak i w tych baśniach tkwi kawał historii, nie tej wprawdzie pisanej i sprawdzonej datami, lecz mówionej i osadzonej jak słoje na najgłębszym pniu wydarzeń.

Legendy wypływają zawsze z najgłębszych źródeł ludowych nawet wówczas, gdy do tych źródeł dopłynęły z bardzo odległych nurtów (część aż z Indii!). Rzeczą charakterystyczną i niemal wyjątkową w historii ziemi zachodnio-pomorskiej jest to, że ludowość pokrywa się tu ze słowiańskością, że gdzie jak gdzie, ale właśnie w tej ludowości uchroniły się niby najgłębsze pokłady drogocennego kruszcu, słowiańskie ślady przeszłości tej ziemi. Czy „Legendy Pomorskie" Karpowicza ujawniły wszystkie, zatarte już czasem i walcem niemieckiej nauki, ślady słowiańskie, czy autor dokonał tu umiejętnego i szczęśliwego wyboru z obfitego i zapisanego materiału legend i baśni pomorskich? Trzeba przede wszystkim zaznaczyć, że Karpowicz zaczynał tu dopiero pracę, leżącą do tychczas odłogiem i nie tkniętą zupełnie przez polską naukę... Szedł więc samodzielnie poprzez drogę, na jeżoną niehywałymi trudnościami, zdany niejednokrotnie tylko na własną intuicję. Czasem np. musiało mu wystarczyć jedno tylko zdanie lub jeden fragment i służyć za kanwę do samoistnej stylizacji tej czy owej legendy. W takim wypadku łatwo o potknięcie czy przeoczenie ale wykazać to może tylko etnograf, względnie historyk na podstawie szeroko przeprowadzonych filiacyj i porównań. Osobiście wydaje mi się, że autor wyszedł obronną ręką z tych trudności. Faktem natomiast bezspornym jest trafnie uchwycony ton tych legend, umiejętna ich dramatyzacja i poetyckie piękno. Karpowicz występuje z pierwszą książką jako prozaik, jednakże jest to prozatorsworso formalne. Każda bowiem strona tych legend zdradza poetę, obcującego z pięknem fantazji i wizyj typowo poetyckich, z niezwykłą wrażliwością na piękno przyrody. Jeśli „Legendy" tak pociągały Karpowicza, to właśnie dlatego, że stanowią one idealny materiał raczej dla poety aniżeli dla prozaika. To też siedemnaście legend to przede wszystkim siedemnaście pięknych opowiadań poetyckich.

Świat polskich legend jest na ogół ubogi. Szczególnie jednak nikłą ich ilość posiadamy z regionu pomorskiego. Po prostu krajobraz i przestrzenność legend, jeśli chodzi o Pomorze, zatrzymały się na bardzo wąziutkiej i mocno ściśniętej granicy polskiej — na polskim Wybrzeżu — z roku 1939. Typowym przykładem są tu „Baśnie kaszubskie" Zuzanny Rabskiej, których geograficzny zasięg nie wychodzi poza jezioro Żarnowieckie. „Legendy" Karpowicza rozbijają tę granicę i przesuwają ją daleko na zachód aż poza wyspę Uznam, następnie okręg szczecińsko-nowogardzki na zachodzie i Łebę na wschodzie.

Książka Karpowicza napisana pięknym, skondensowanym i wysoce artystycznym językiem, spełni więc niezwykle pożyteczną rolę nie tylko na Pomorzu Zachodnim. Oto druga książka ze Szczecina, którą powinny się zainteresować nasze władze szkolne i polecić ją jako lekturę szkolną naszej młodzieży. Książka jest pokaźna objętościowo (około 200 stron) i pięknie ilustrowana. „Legendy Pomorskie" wydała szczecińska spółdzielnia wydawnicza „Polskie Pismo i Książka", która ma tu na Pomorzu Szczecińskim piękną misję do spełnienia.

Stanisław Telega

Wiry romantyzmu

(Dokończenie ze strony 1)

jak Anteusz, nie dotknął się ziemi, by czerpać z niej swą moc. Zawsze albo bujał w obłokach, był ulubionym kierunkiem wygodnych filistrów, niezdolnych do żywszych odruchów, albo odpowiadał psychice pięknoduchów i marzycieli. Ilekroć dochodził zaś do głosu czynnik polityczny czy społeczny, był to z reguły zwodniczy głos Lorelei, otwierające miraże zamierzchłej przeszłości, nawołujący nie do postępu, ale do powrotu. Głos par excellance wsteczny, reakcyjny.

„Jan Chrzciciel polskiego romantyzmu", Brodziński, pisze:

„Kto by chciał Niemców do czynów pobudzić, powinienby naprzód gęsi z ich kraju wypędzić, aby ich pozbawić piór do pisania i pierzyn".

Rzecz dziwna: w Polsce romantyzm w ogniu wojny narodowej w roku 1830 skrzepł, zahartował się, zbliżył się do ludzi. W Polsce romantyzm był wiernym towarzyszem: szeleścił w liściach Łazienek nocy listopadowej, wybuchał Wiosną Ludów, marzł na placówkach styczniowych.

W Niemczech romantyzm, choć przeżył tragedię wojen napoleońskich, pozostał wierny tradycjom „das schwarze Korps". Albo rozpływał się w spekulacjach filozoficznych, albo był apoteozą siły, przemocy, państwa. Pozostał on także wierny narodowi niemieckiemu aż do ostatnich chwil, aż do kapitulacji Berlina i narodzin nowych Niemiec...

ZAPATRZONY WSTECZ

Fryderyk Schlegel domagał się zjednoczenia poezji z filozofią. Był to pierwszy postulat romantyzmu niemieckiego — po nim przyszły dalsze.

Spojrzenie romantyzmu niemieckiego na ludzkość zraża nas swym egoizmem narodowym. „Duch naszych dawnych bohaterów — pisze ten sam Schlegel w „Atheneum" — niemieckiej sztuki i nauki musi pozostać tak długo niemieckim, jak długo my sami będziemy Niemcami".

Schlegel pierwszy skarży się na filistrów, że żyją oni tylko swoim dniem codziennym, powszednim. Poezję uważają oni za zwyczajną rozrywkę i chętnie stosują poetyczną domieszkę do swoich codziennych spraw. U szczytu poetyczności znajduje się on tylko w czasie podróży, wesela, chrzcin i nabożeństwa w kościele.

Co to jest mistycyzm? — pyta w innym miejscu Schlegel i daje odpowiedź: wszystko, co musi dziać się „w tajemnicy" (mistycznie) — **religia, miłość, natura, państwo.**

Tu po raz pierwszy włączone jest państwo w orbitę mistycyzmu. Tu po raz pierwszy miłość jest uważana za koniec, za cel historii świata, za amen wszechświata.

Fryderyk Hoelderin czuje się osamotniony między ludźmi. Swoją mistyczną teorię filozoficzną łączy jednym tchem z losem narodu niemieckiego. „Nie mogę sobie wyobrazić narodu, który byłby bardziej rozdarty i rozczłonkowany od niemieckiego — pisze w 1797 roku w „Hyperionie", a więc w momencie, gdy jego rodacy okupują już część Polski. — Czyż nie wygląda to jak ogromne pole bitwy, na którym leżą poodcinane ramiona i nogi i inne części ciała, podczas gdy krew wsiąka w piasek?

„Wy, Niemcy, jesteście bogaci w myśl, ale ubodzy w czyn — woła Hoelderin.

A filozof i historyk Wilhelm Dilthey tak pisze o Hoelderinie: „W nim tkwi rytmiczny styl Nietzschego i liryka Verlaina, Baudelairea, Swinburnea i wszystkich nowszych poetów..."

Niemiecka tęsknota do przeszłości wyraża się w nadmiernym zainteresowaniu się naukami historycznymi. „W Niemczech, gdzie nauka jest zawsze pewnego rodzaju rzemiosłem — skarży się Schelling — najbardziej bezduszne umysły zwracają się do historii". Z tego spojrzenia w przeszłość wypływa tęsknota do potęgi, do jedności, tęsknota, porywająca wszystko i wszystkich. Rodzi się nowa koncepcja narodu i państwa. Romantyzm, patrzący w mroki średniowiecza przez różowe okulary, wywlekający jądro doskonałości stosunków społecznych ze zbutwiałych lat feudalizmu po spojrzeniu na mizerny, bezsilny i bezduszny naród filistrów dziewiętnastego stulecia — skarży się słowami Paula de Lagarde:

„W Niemczech nie ma narodu, tam istnieje tylko materiał na naród. Państwo bez narodu jest bez duszną maszyną, która odgrywa rolę żyjącej istoty".

Novalis rzecz określa inaczej:

Naród jest ideą. My chcemy być narodem.

Państwo jest osobą, jak indywiduum.

I oto wielki romantyk, Novalis, wyznaje dalej:

„Co to jest prawo, jak nie wyraz woli ukochanej, godnej poszanowania osoby? Czyż mityczny władca, jak każda idea, nie potrzebuje jako symbolu jakiejś cenionej i godnej szacunku osoby? Ci wszyscy, którzy dzisiaj deklamują cokolwiek przeciw książętom, którzy nigdzie nie widzą świętości, którzy chcą zaszczepić francuskie maniery, którzy hołdują republice, którzy apodyktycznie twierdzą, że tylko tam jest republika, gdzie odbywają się wolne wybory, gdzie obradują rady municypalne i gdzie sadzi się drzewa wolności, są nędznymi filistrami, bezdusznymi i bez serc, którzy swoją głupotę chcą ukryć pod barwnymi flagami triumfującej mody, pod maską kosmopolityzmu, aby prowadzić nadal mysią wojnę".

Schelling wyznaje w dziele „O istocie niemieckiej matki", wydanej w roku 1812: „Sprawiedliwa wojna toczyć się może tylko o idee, to znaczy musi być religijna".

Heinrich von Kleist w „Katechizmie Niemca", wydanym w ciemnym dla Niemców okresie wojen napoleońskich poucza:

„Pytanie: „Skąd wiesz, że sprawa Niemców jest słuszną sprawą?

Odpowiedź: „Bo cesarz Franciszek austriacki o tym nas zapewnił..."

U Fryderyka Ludwika Jahna przebija się już najczystszej wody rasizm: „Hiszpańskie przysłowie — pisze Jahn — nie wierz żadnemu mułowi ani mulatowi — jest bardzo słuszne, a niemieckie — ani to ryba, ani mięso — ostrzega. Im czystszy jest naród, tym lepiej, im bardziej zmieszany, tym gorzej..."

„Jesteśmy bardziej średniowieczni, niż wiek XVIII — pisze Nietzsche — my podnieśliśmy rewolucję przeciw rewolucji..."

Juliusz Langbehn w roku 1890 nie waha się zupełnie otwarcie w dziele „Rembrandt jako wychowawca" pochwalać wpływu militaryzmu na domowe życie obywateli..."

W roku 1931, na dwa lata przed dojściem Hitlera do władzy, pisał w dziele „Naród" Franciszek Schauwecker, wypisując na wstępie znamienne motto: „Musieliśmy przegrać wojnę, aby odzyskać naród":

„Polityka jako los jest rytmem narodu. Ona jest równym uderzeniem wielkich serc, ona jest równym uderzeniem wielkich myśli, ona jest równym krokiem naszej woli. Ona potrzebuje wodza..." „Wojna i wszystko, co po niej przyszło, było tylko oczyszczaniem i torowaniem naszej drogi przez świat. Takie jest nasze przeznaczenie".

Nie trzeba było długo czekać na wodza. Odzwierciedlił on w sobie wszystkie niemal cechy romantyzmu niemieckiego.

Czy z kapitulacją hitleryzmu zakończył się romantyzm? Stawianie znaku równania między romantyzmem a hitleryzmem byłoby krótkowzrocznym, choć efektownym eksperymentem. Nie chcemy eksperymentować. Nie chcemy potępiać w czamburł romantyzmu niemieckiego. Romantyzm niemiecki, to według Henryka Manna: „potęga władcza, której przechodzi ponad nami i której kopyta my całujemy. Oprzeć się jej nie możemy, bo wszyscy ją kochamy. We krwi ją mamy, bo i niewolniczość w niej mamy. Atomem jej jesteśmy, marną molekułą czegoś, co ona wypluła ze siebie..."

W Niemczech powojennych odradza się znowu tradycyjna tęsknota do przeszłości. Bibliotekarze sygnalizują popyt na dzieła wielkich romantyków. Niemców trawi dzisiaj tęsknota za nieskończonością, która znajduje równie łatwo ujście w poezjach Goethego i pismach Nietzschego, co w koncepcjach Weltherrschaft i iście gigantycznych tworach ducha niemieckiego: w Majdankach, Oświęcimiach, Buchenwaldach...

Romantyzm niemiecki wyznaje słowami Ulricha von Hutten:

„Nienawidzę brutalnego prawa pięści
A częstom się nim w drodze posługiwał
Modlę się po chrześcijańsku o pokój
A rozkosz mi sprawiają wojna i wrzawa wojenna..."

Zestawienie obu romantyzmów — polskiego i niemieckiego, obu tych samych, a jednak diametralnie różnych kierunków, a ujmując rzecz szerzej, swoistych cech narodowych, nasuwa wiele wniosków, które pozostawiamy czytelnikom. Za wyjątkiem jednego zastrzeżenia:

Siedem grzechów głównych romantyzmu niemieckiego nie wydaje wyroku śmierci na romantyzm. Odżywa on dzisiaj w całej pełni i blasku w literaturze radzieckiej, odżyć musi i wśród innych narodów, szukających rozwiązania palących problemów nie tylko na drodze zimnego rozumowania i kupieckiej kalkulacji. Wojna była zbyt silnym przeżyciem, aby nie rozbudziła dusz ludzkich.

Romantyzm jeszcze może przeżyć dni renesansu, jak przeżywał je już tylokrotnie. Rzecz w tym, aby był lekarstwem, a nie trucizną, choć każda trucizna jest lekarstwem.

Leszek Goliński

Melpomena prowincji

Edmund Wierciński w Bielsku

Teatr Polski w Bielsku i Cieszynie: „Łuk triumfalny" — sztuka w 3 aktach Pawła Raynala w przekładzie Zofii Wójcickiej-Chylewskiej. Reżyseria: Edmund Wierciński. Dekoracje: Feliks Krassowski.

St. Kwaskowski (Ojciec) i St. Malatyński (Żołnierz) w „Łuku Triumfalnym", reżyserowanym (gościnnie) przez Edmunda Wiercińskiego.

Akcja tej 3-osobowej sztuki rozgrywa się w miasteczku francuskim podczas jednej nocy 1915 r., ale problem w niej poruszony sięga zagadnień, wychodzących poza granice jednego państwa i czas określony wskazówkami zegara. Bo też w ciągu tej jednej nocy decydują się sprawy bohaterstwa, miłości i śmierci, przekleństwa wojny i błogosławieństwa pokoju, a wszystko pięknie ilustrowane na przykładach ludzkich, jak przeźroczami, w zgrabnych ramach francuskiego teatru kameralnego. Tylko że nieprzekonywające są już dzisiaj te argumenty, jakimi autor każe posługiwać się swoim bohaterom, zbyt głęboko sięgające w psychologię indywidualną. I ten pacyfizm, związany równie silnie z obrazem poprzedniej wojny jak UNRRA z minionej. Ot, malutkie przesunięcie podobnej różnicy w umundurowaniu żołnierza francuskiego w obu wojnach, albo krojowi fraka dziś i przed dwudziestu laty. Więc dobrze, że wyniosłem wrażenie jak ze sztuki kostiumowej. To wiele tłumaczy i charakteryzuje ujęcie inscenizacyjne.

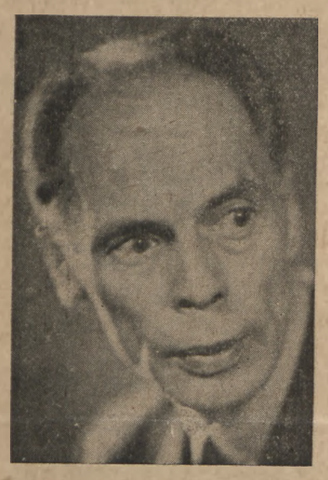

Edmund Wierciński

Mniejsza jednak o argumenty, skoro sztuka jest interesująca, o mocnych i umiejętnie rozłożonych akcentach dramatycznych i doskonale skonstruowanych dialogach, a zwłaszcza gdy może wejść na warsztat teatru, nie posiadającego tych warunków, jakimi szczycą się tzw. „wielkie sceny". Gdy zaś inscenizuje ją jeden z najwybitniejszych reżyserów polskich **Edmund Wierciński,** jako czwartą od trzech lat pozycję po „Elektrze" w Łodzi „Dwóch teatrach" w Katowicach i „Cydzie" w Warszawie, wówczas obejrzenie jej powinno być równie obowiązujące jak przeczytanie dobrej nowej książki.

W tego rodzaju sztuce nie ma tłumów ani efektów dźwiękowych ani bajki światłoczułej, naczelnym elementem przedstawienia jest aktor, toteż nim przede wszystkim musi zaopiekować się reżyser. Opieka ta widoczna była w każdym niemal geście, w każdej scenie, w każdej sytuacji, z których żadna nie została powtórzona. Trzeci akt, najmocniejszy rozwiązał w ujęciu inscenizatora wszystkie zagadki psychologiczne, nagromadzone w dwu poprzednich i był właściwym popisem Wiercińskiego.

Stanisław Malatyński rolę Żołnierza Francuskiego zamknął w ramy zdyscyplinowanego ruchu i spokojnej interpretacji tekstu, osiągając tymi środkami mocne efekty dramatyczne. **Stanisław Kwaskowski** wzbogacił postacią Ojca swoją kolekcję ról charakterystycznych o dobry dramat. **Teresa Marecka** jako Alda doskonale zmieściła w kameralnych warunkach sztuki szeroki gest i dramatyczną ekspresję głosu.

Teatr w Bielsku i Cieszynie pod dyrekcją Stanisława Kwaskowskiego daje na ogół dobre przedstawienia, dość często bardzo dobre, ale świetne nie zdarzają się zbyt często nawet w Warszawie. Aby nie oceniać jakości tego spektaklu systemem cenzurkowym, ograniczę się tylko do zapewnienia, że nie powstydził by się go żaden teatr w Polsce.

Bogdan Butryńczuk

„Żabusia" w Sosnowcu

Żabusia — sztuka w trzech aktach Gabrieli Zapolskiej, reżyseria Dobiesława Damięckiego, dekoracje Wiesława Makojnika. Premiera 24. III. 1948 r.

Walcząca z wszelkimi, jakie tylko są możliwe w teatrze, kłopotami i trudnościami scena sosnowiecka dała dowód, że ma szanse być przyzwoitym i pożytecznym teatrem. Takie dowody składa ona przeciętnie dwa, trzy razy do roku, co naturalnie nie jest wiele. Powiedzieć trzeba nawet, że jest to za mało jak na teatr z ambicjami choćby tylko regionalnymi, ale co świadczy, że teatr ten potrzebuje rzetelnej i uczciwej pomocy, której nie dadzą mu żadne finansowo-oszczędnościowe ingerencje takich czy innych czynników z zewnątrz, a tym mniej kręcenie nosem na dyrektora.

Przy okazji wystawienia w Sosnowcu „Żabusi" w opracowaniu reżyserskim *Dobiesława Damięckiego* najważniejsze jest to, że ujrzeliśmy zupełnie przyzwoite, oglądane z przyjemnością przedstawienie, które trzeba zaliczyć scenie sosnowieckiej na dobro.

„Żabusia" wytrzymuje próbę dnia dzisiejszego lepiej niż „Panna Maliczewska". Jest bardziej typowa, jej sytuacje, charaktery i atmosfera są mniej specyficzne, wiele zjawisk psychicznych stawianych tu pod obstrzałem satyry obyczajowej autorki można przetransponować na stosunki, które nie wymagają specjalnego podmalowania kolorytem miejsca i czasu. Sprawia to, że zainteresowanie współczesnego sztuką jest żywe, choć niewątpliwie bardziej wyrobiony smak razić będą niektóre zbyt leżące na wierzchu chwyty techniczne Zapolskiej i nie zaimponują mu wcale liczne i nie zanadto zgrabne monologi, od których bardzo nas już teatr współczesny odzwyczaił.

Zalety, które przede wszystkim trzeba podkreślić w przedstawieniu, to reżyseria przemyślana, skutecznie osiągająca postawione sobie zamierzenia, trafnie rozwiązująca sytuacje, reżyseria, która nie narzuca się widzowi, ale którą znać w grze każdego aktora, której wpływ widz, jeśli dostrzega,

Stanisława Zawiszanka w roli Żabusi

przyjmuje z satysfakcją; a druga z zalet to wykonanie roli tytułowej przez *p. Stanisławę Zawiszankę.* Rola ta zagrana została pewnie, z dużą swobodą i techniką aktorską, która pozwoliła na jej wyraziste, charakterystyczne ujęcie. Aktorsko Żabusia jest najlepszym punktem przedstawienia. *P. Władysław Lasoń* jako mąż Żabusi poprawny był w akcie pierwszym, w następnych obniżał już poziom gry, stawał się coraz bardziej surowy i sztywny, a w końcu zawiódł w samym finale, który stawia aktorowi wysokie wymagania. Szczęśliwe momenty w tej roli znów trzeba chyba przypisać pracy reżysera, do którego bez wątpienia należy również wydobycie postaci Bartnickiego w sposób właściwy i przekonywający psychologicznie z obrazu, jaki tworzy ostatnia scena zbiorowa. Dobry był *p. Tadeusz Żyliński* w epizodycznej roli Juliana, choć trudno nam uwierzyć, by rozsądna i normalnie myśląca Maria mogła zakochać się w takim pajacu, który w najmniejszym stopniu nie wyglądał na duszę jej pokrewną czyli na jakiegoś sensata, jakim powinien być według tekstu sztuki. Wyraźnie nie udała się, zwłaszcza w akcie drugim i trzecim, pani *Zofii Michalskiej* trudna i niewdzięczna, co tu dużo mówić, papierowa, jakby nie przez Zapolską napisana rola Marii, trzeciej centralnej postaci sztuki. Może przydałoby się tej postaci więcej temperamentu i energii, podczas gdy potraktowano ją bardzo dramatycznie i wybitnie melancholijnie, podkreślając tym jeszcze niedociągnięcia autorki. Pozostałe role wykonali pp. *Helena Larys-Pawińska, Zofia Bułat, Maria Sieniawska, Marta Sobolewska* i *Romuald Bojanowski.*

Z przyjemnością podkreślić jeszcze trzeba jako uzupełnienie spektaklu doskonałe i dobrze pomyślane dekoracje p. *Wiesława Makojnika,* przy czym w ogóle na uwagę zasługuje wyjątkowa dbałość o zewnętrzne szczegóły przedstawienia, co wyraźnie podniosło jego poziom.

Ten w pewnym sensie sukces artystyczny teatru sosnowickiego notujemy z satysfakcją. Przydałoby się ich więcej. Dlatego teatrowi temu trzeba w sposób realny i skuteczny dopomóc.

Zdzisław Hierowski

Równy front na Zachodzie

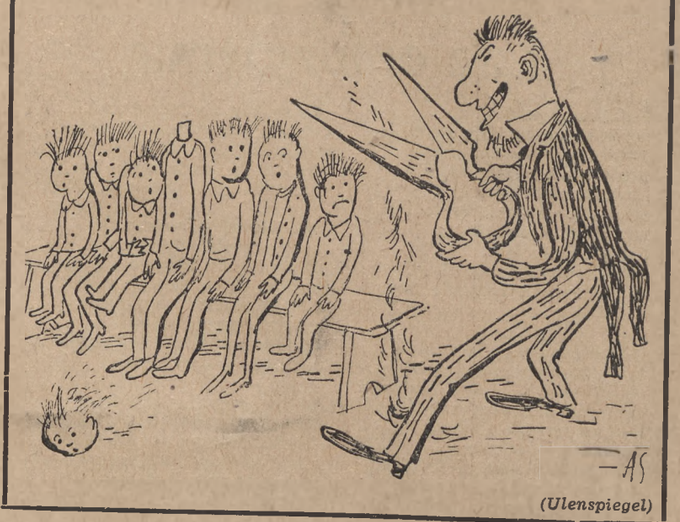

(Ulenspiegel)

Hotel Ansgar

Nazwisko Leopolda Tyrmanda nie jest nam obce, znamy je z licznych artykułów, a przede wszystkim z reportaży i nowel drukowanych w „Przekroju". Niektóre z nich znajdziemy w ostatnio wydanym zbiorze pt. „Hotel Ansgar".* Nie tylko nie tracą one na tym, że jeszcze część fabuły pamiętamy, ale nawet zyskują, witamy je jak dobrych znajomych, możemy swobodnie bawić się szczegółami, smakować dobrą robotę pisarską. Książka jest napisana z temperamentem, pociąga sensacyjnością akcji, a zarazem urokiem młodzieńczej nonszalancji, ryzykownictwem, powiedziałbym sportowym podejściem do sprawy tak poważnej jak walka o życie.

Autorowi udało się uwolnić od czadu cierpiętniczego. Książka jest mimo dramatycznych epizodów pełna humoru, nieograniczona się on jedynie od sytuacji spiętrzonych zabawnie, ale tkwi w samym języku wolnym od sentymentu, choć pozwalającym nam się wzruszać.

Właściwie jest to książka, w formie prawie pamiętnika, jakby spisanego przez przedstawiciela pokolenia dojrzewającego w czasie wojny. Jest to pokolenie spragnione wielkości i bohaterstwa, a zarazem stroniące od patosu, zręcznie pokrywające „nieżyciowy romantyzm" pozornym cynizmem i bufonadą.

Choć może się nam wydać nieprawdopodobne nagromadzenie szczęśliwych zbiegów okoliczności, zwłaszcza w ostatnim opowiadaniu, jednak z ulgą witamy sukces polskiego konspiratora w czasie rejsu na Bałtyku i krajach skandynawskich. Tyle razy w życiu, w ciągu lat okupacji byliśmy świadkami katastrof, niemal w każdej z książek wydanej po wojnie, z masochistycznym zadowoleniem, raczą nas autorzy opisami cierpień i klęsk, że nawet mówiąc bezpośrednim słownikiem Tyrmanda, tam gdzie wyczuwamy „lipę konstrukcyjną" łykamy ją jak musującą pastylkę, która ma krzepić i ożywiać. Postacie więźniów - cwaniaków warszawskich, przymusowych marynarzy, armatorów, Duńczyków, Niemców i Norwegów są nakreślone szybkimi zdaniami, niemal karykaturalnymi skrótami i dobrze osadzone w folklorze bałtyckim. Jak bardzo potrzebujemy optymistycznej lektury, może świadczyć to, że z łatwością przystajemy na język warszawskiej ulicy, dosadny żargon Wiecha!

Postacie wbijają się nam łatwo w pamięć, szybko indywidualizują i działają zgodnie ze swymi charakterami; działanie to jest bardzo jednolite, typu marionetkowego, raz poruszony mechanizm wywołuje szereg podrygów, które zawsze bawią, mimo że ich oczekiwaliśmy. Autorowi nie chodzi o jakieś pogłębienie psychologiczne, stawia na tempo i ruch. Akcja z miejsca angażuje uwagę czytelnika, nie daje mu odsapnąć aż do ostatniej linijki. Przy tym rodzaju literatury jest to zaletą — gdyż jest to właśnie literatura sensacyjna dobrej klasy. Podkreślam literatura sensacyjna, a nie awanturnicza, jeśli do typu awanturniczej jako klasyków zaliczymy: Londona, Stefensona, Kiplinga. Od literatury sensacyjnej nie wymaga się postawy moralizującej. We wszystkich opowiadaniach, oprócz: „Błyskawicę słychać w Oslofiordzie" postawa bohatera, mimo że możemy ją uznać nie tylko za prawdopodobną, ale nawet oczywistą, musi budzić wątpliwości swoim indyferentyzmem moralnym. Jest to postawa dość charakterystyczna dla młodzieży konspiracyjnej — pozwalamy sobie na wszystko i chłepczemy życie ile się da, ponieważ właśnie to życie ryzykujemy. Autor postawę tę wyraźnie rozgrzesza.

Zwłaszcza w jednej z nowel etyka, którą nazwałbym czasową lub konjukturalną najbardziej brzmi ryzykownie. Autor, czy narrator, bo w uszach czytelnika brzmi to jednako w noc wigilijną próbuje wywołać tonącego Niemca, towarzysz Belg udaremnia ratunek — twierdząc, że nie jest to „człowiek dobrej woli" i pokój, który głosi kolęda nie może go dotyczyć. Bohater opowieści nie tylko rozumie postawę współtowarzysza, ale przyznaje mu po namyśle słuszność.

Pomijając ryzykowny kontrast z jednej strony noc wigilijna, Noc Zrealizowanego Miłosierdzia, z drugiej odmowa pomocy tonącemu, choćby niedawnemu wrogowi, uważam, że afiszowanie tej postawy jest nie tylko niechrześcijańskie, ale po prostu nieludzkie. Złamanie solidarności człowieczej stawia napastowanych na jednym poziomie z pogardzonym napastnikiem.

Autorowi wolno było w owej chwili zrozumieć niechęć Belga, ale nie powinien był się z nią solidaryzować, gdyż właśnie romantyzm szlachetnego gestu, którego się zaparł, jest podstawą dumy i odrębności Polaków.

Afirmacja takiej podstawy jest tym drastyczniejsza, że rozciąga się na nią kredyt zaufania, jakiego udziela czytelnik, przyjmując bezkrytycznie, mniej lub więcej prawdopodobne akcje i wydarzenia w reszcie książki. Książka jest napisana interesująco i będzie na pewno miała licznych czytelników, więc dobrze byłoby by autor wiedział, że amoralizm i cynizm jest cechą klas i narodów odchodzących, grupy społeczne i narody młode, wstępujące, cechuje postawa heroiczna, moralność bezkompromisowa i surowa.

Wojciech Żukrowski

Leopold Tyrmand „Hotel Ansgar" wyd. Księgarnia Zdisława Gustowskiego w Poznaniu. Opowiadania. — Stron 181.

Już ukazał się w druku wyczerpany podręcznik:

St. Jodłowski i W. Taszycki

Zasady pisowni polskiej

i interpunkcji
ze słownikiem ortograficznym
Wydanie siódme

Stron 264. — Cena zł. 260.—

Wrocław
Wydawnictwo Zakł. Narodowego im. Ossolińskich
1948

zatwierdzony przez Ministerstwo Oświaty do użytku szkolnego. Do nabycia w Wydawnictwie Zakładu Narodowego im. Ossolińskich — Wrocław, Plac Solny 13, w Księgarni Zakładu Narodowego im. Ossolińskich — Kraków, Podwale 5 i we wszystkich księgarniach.

Teatr w Szczecinie

„Droga do źródeł" Tad. Perkitnego w Teatrze Polskim w Szczecinie. Na zdjęciu Malkowski i Zbyszewski

Ucząc się Słowiańszczyzny

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze 7 „Odry" poruszył Niejaki X sprawę „byków" popełnianych przez naszych publicystów w pisowni nazw i nazwisk francuskich. Do tej oślej łąki francuskiej chcę dorzucić kilka kwiatków z łąki jugosłowiańskiej.

Gdy w ub. r. ambasador Jugosławii Dr Rade Pribićević (czytaj: Pribiciewić), zaszczycił swą obecnością walne zebranie Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Jugosłowiańskiej w Katowicach, to w „Dzienniku Zachodnim" (Nr 133) niemal wszystkie nazwiska i imiona członków ambasady podane zostały błędnie, a nazwisko ambasadora uległo wprost fantastycznej deformacji jako: „P r i b i c E w i c Rade"! Szkoda, że nie znam autora tej notatki, bo spreparowałbym mu jego rodzone nazwisko w ten sam deseń i spytał go, czy bardzo z tego zadowolony.

W recenzji z koncertów festiwalowych, zamieszczonej w „Nowinach Literackich" (Nr 37 z ub. r.), podznaczonej literą „B", napisano, że Anita Meze śpiewała pod dyrekcją swego współziomka Miliana Chorwata. Otóż ani Miliana ani Chorwata, lecz Milana Horvata. W dalszym ciągu tej recenzji mówi się o kompozycji S. Christica i dyrekcji Swetolic'a Pascan'a. Jeden i drugi to kompozytorzy i dyrygenci wysokie klasy, znani dobrze w całej Europie, a ten drugi nie pierwszy raz zaprezentował się naszej publiczności i recenzent muzyczny poważnego tygodnika powinien wiedzieć, że pierwszy nazywa się Hristić, a drugi (w fonetycznej pisowni polskiej) Swetolik Paszcian. Używając zaś formy dopełniacza, trzeba pisać i czytać: Hristicia i Swetolika Paszciana. Pisownia użyta przez autora recenzji przy imieniu „Swetolicia" zdradza, że nie wie, iż w żadnym języku słowiańskim „c" nigdy nie czyta się jak „k".

Po drodze ogólna uwaga: Nie mogę pojąć, dlaczego nasi drukarze i stenotypistki nie uznają i stale bojkotują przecinek nad literą „c" w nazwiskach i nazwach jugosłowiańskich, jak gdyby głoska „ć" była u nas zupełnie nieznana, a z drugiej zaś strony dlaczego nasi czytelnicy to „ć" najczęściej czytają jak „c".

A teraz znów kilka kwiatków z „Kuźnicy". W numerze 43 z r. ub. zamieszczony został artykuł Radowana Zogowicia „Współczesna literatura jugosłowiańska". Jest to właściwie konglomerat zestawiony z wyjątków z obszernego referatu Zogowicia, opublikowanego w serbskim miesięczniku „Letopis Matice Srpske", a więc cyrylicą. Z natury rzeczy jest w nim mnóstwo nazwisk. Niepodpisany autor elaboratu wydrukowanego w „Kuźnicy" starał się je oddać w polskiej transkrypcji fonetycznej. Dobrych chęci mu nie brakowało, lecz wywiązał się z nich haniebnie, gdyż siadają odpowiednich czcionek. Wymieniła tam nazwisko genialnego rzeźbiarza „Meštrovića" i J. „Beneśića". I znowu wyszły z tego dziwolągi, bo ani w języku serbochorwackim nie istnieje dźwięk „ś", ani w polskim języku po „ś" nie stawia się nigdy „ć", a postać „ća" jest nieznana. Jakże to ma przeczytać biedny polski czytelnik, który ma przecież prawo wymagać od piszących, aby mu podawali poprawne brzmienie nazwisk tak Mesztrowicia jak i Beneszicia, jak też i innych Jugosłowian, o których się pisze.

Dopóki nie mamy odpowiednich czcionek i nie osowimy się z imionami, nazwiskami i nazwami jugosłowiańskimi, nie ma innej rady, jak tylko posługiwać się transkrypcją polską, stosowaną już od dawna np. do nazwisk rosyjskich. Ale też transkrypcja ta powinna być poprawna i konsekwentna. Szeroki ogół naszego społeczeństwa, nie wyłączając nawet ludzi wykształconych, uczy się dopiero Słowiańszczyzny — niechże więc uczy się od razu poprawnego brzmienia, bo błędne—bardzo trudno wykorzenić, jak świadczy casus „Don Kiszot". Mała to rzecz, ale wielki wstyd.

Wiktor Bazielich
Katowice

Spółdzielnia CZYTELNIK Wydawnicza

Nowości wydawnicze

DĄBROWSKA M. — **Noce i dnie.** Powieść.
Tom I: Bogumił i Barbara . . . . . zł 420
Tom II: Wieczne zmartwienie . . . . . zł 420
Tom III: Miłość cz. I i II . . . . . zł 940
Tom IV: Wiatr w oczy . . . . . (w druku)
KOSSAK Z. — **Złota wolność.** Powieść. 2 tomy . . zł 750
RUDNICKI A. — **Żołnierze.** Powieść. . . . . zł 750
TOŁSTOJ A. — **Piotr I.** Powieść. 3 tomy . . . . (w druku)
ŻEROMSKI S. — **Ludzie bezdomni.** Powieść. . . . zł 400
ŻEROMSKI S. — **Syzyfowe prace.** Powieść. . . . zł 265

——oOo——

Biblioteka „Mathesis Polskiej"

JEANS J. — **Wszechświat.** Gwiazdy. Mgławcie. Atomy. — Tłum. Kapuściński W. . . . . zł 880
JEANS J. — **Podróż w czasie i przestrzeni.** Tł. Gawecki B. . . . . zł 760

——oOo——

GOJAWICZYŃSKA P. — **Dom na Skarpie.** Powieść. zł 320

——oOo——

BRZECHWA J. — **Skarżypyta.** Ilustr. Siemaszkowa.
O. — (Dla dzieci) . . . . . zł 580
JANUSZEWSKA H. — **Jawor, jawor.** Ilustr. J. M. Szancer. (Dla dzieci) . . . . . zł 360
TUWIM J. — **Zosia Samosia** i inne wierszyki. Ilustr. Ha-Ga. (Dla dzieci) . . . . . zł 500

——oOo——

ŻĄDAĆ WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH!

Krótkie spięcia

O jedno słówko

Sprawa z „do" była swego czasu w byłym zaborze pruskim, a zwłaszcza na Śląsku, sprawą przedziwną. Taką swoiście regionalną i taką niejako wyjątkową. „Do" bowiem zostało tutaj uznane za równowartość „pod" i dlatego też wszędzie spotykało się owe kapitalne, a cudaczne połączenia, jeśli chodzi o nazwy lokali: „Do Wypoczynku", Do „Zielonego Fartuszka", „Do Lipy", „Do Dzwonu" itd. Ze specjalnym zaś rozrzewnieniem można było czytać — o ile sobie kto przypomina — w starym Chorzowie: „Do Wesołego Franka", a w Jastrzębiu-Zdroju: „Do Powstańca Grupy Południowo-Wschodniej".

Na „do" nie było rady. Prasa próbowała to wyśmiewać, światlejsi ludzie wyperswadowywać, ale bez skutku. „Do" królowało, zawzięcie broniło swych pozycji i nie ustępowało z miejsca. Zwolennicy „do" rozumowali bowiem tak:

— Przecież po niemiecku jest „zum" i „zur", więc jak może to być przetłumaczone na polskie? Tylko jako „do"...

„Do" należało do tych samych fantazyjnych dziwolągów językowych, co „sztywne przodki męskie", „płyta holsztyńska", „chłopskie jedzenie", „do wina nie ma gwałtu" („Kein Weinzwang"), „Dumny Henryk" (nazwa ciasta), „chleb ilustrowany" itd., itd. — ale żywot miało znacznie dłuższy niż tamte.

Mianowicie zamiana „do" na „pod" napotykała na trudności natury niejako, obyczajowej. Zwolennicy „do" twierdzili bowiem, że „pod" brzmi nieprzyzwoicie. Jak można na przykład nazywać restaurację „Pod Zielonym Fartuszkiem"? Cóż za skojarzenie to by nasuwało...! Albo choćby „Pod Wołem"! Straszna to przecież i nieprzyjemna poza tym rzecz jadać pod wołem, czy pod białym koniem, albo pod brunatnym jeleniem, nie mówiąc już o jadaniu i piciu pod wesołym Frankiem. Taki wesoły Franek przecież Bóg wie co wtedy mógłby zrobić...!

A więc „do" się trzymało przez wiele, wiele lat i trwało na swym stanowisku z uporem, godnym zaiste lepszej sprawy. Inne dziwolągi z biegiem czasu poznikały z szyldów i z jadłospisów, ale „do" nie ustępowało z raz już zajętego miejsca.

Inna rzecz, że później powoli zaczęto dobierać się i do „do" tak, że w rezultacie tuż przed wojną „do" właściwie panowało już tylko gdzieś na peryferiach. Ale tam gdzie już przestało panować, to jednak mimo wszystko nie zamieniało się na „pod", lecz przybierało jakąś inną nazwę (n. p. „Do Wesołego Franka" na „Restauracja — Wesoły Franek").

Dobrze, zapyta jednak każdy, ale skąd niby te filozoficzne uwagi na temat owego „do" i wszelakich związanych z tym słówkiem perypetii...?

Otóż stąd, że wszystkim się zdaje, iż „do" znikło razem z wojną. Znikło, jakby ktoś powiedział, bez śladu, stając się tylko wspomnieniem, i to nawet do pewnego stopnia, wspomnieniem rzewnym.

A tymczasem nie! „Do" się zachowało! Wprawdzie jako unikat, jako coś w rodzaju żubra pszczyńskiego, ale zawsze jest, zawsze istnieje! Istnieje mianowicie w Świętochłowicach jako „Restauracja do Wypoczynku". Wyraźnie: „Do Wypoczynku".

To ostatnie „do" powinno więc się otoczyć specjalną opieką, jak jakiś rezerwat natury i pieczołowicie koło niego chodzić.

Ale oczywiście tylko w tym sensie, aby się zanadto nie rozmnożyło...

NIEJAKI X.

Niekulturalny proceder

W jednym z poznańskich dzienników znalazłem artykuł donoszący o „Kulturalnych nagrodach Poznania". Wynika z niego, że za rok 1948 nagrody zwane kulturalnymi otrzymali: główną w wysokości 100.000 zł muzykolog prof. dr. Adolf Chybiński za całokształt swojej działalności naukowej, nagrodę muzyczną w wysokości 70 tys. zł otrzymał Adolf Ciechański, prof. Wyższej Szkoły Muzycznej nagrodę z dziedziny plastyki otrzymał również pedagog, profesor Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych, artysta - malarz i prezes poznańskiego ZPAP Hipolit Polański, wreszcie nagroda organizacyjna przyznana została St. Hebanowskiemu, naczelnikowi Miejskiego Wydziału Kultury i Sztuki za działalność kulturalno-społeczną.

Dotychczas wszystko jest w porządku. Ale w dalszym ciągu artykułu pojawia się jednozdaniowa wzmianka następującej treści: „Nagród literackiej i teatralnej nie przyznano w bieżącym roku". I nic więcej. Nie wiemy, czy dlatego że Urząd Wojewódzki nie miał pieniędzy, czy może dlatego że nie było kandydatów. Jeśli zaszedł ten drugi wypadek, to nie wiemy, kto skonstantował ten fakt. Czy powołane zostało jury jednej i drugiej nagrody i czy to ono stwierdziło brak ludzi godnych nagrody. Jeśli jury nie było, to kto zawyrokował o takim losie owych dwóch nagród. Jest to wszystko dziwne tym bardziej, że do nagrody miasta Katowic kandydował niedawno wysunięty przez jednego z członków jury pisarz zamieszkały stale w Poznaniu, autor pierwszej powieści o życiu na Ziemiach Odzyskanych — Eugeniusz Paukszta.

Chyba tego procederu, jaki zastosowano w tym roku do poznańskich nagród artystycznych, nie można nazwać kulturalnym. A w dodatku jest to przykry i niebezpieczny precedens. (ki)

W najbliższym czasie ukażą się Wydawnictwa Biblioteki Narodowej

Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Redaktor naczelny WILHELM SZEWCZYK. Komitet redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3 Maja 36a, II ptr. Telef. 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Martynowa 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, 3 Maja 12. Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik". Złożono i odbito w drukarni nr 9 Sp. Wyd. „Czytelnik", Katowice, ul. Młyńska 9. Tel. 31059.

R 13141